

ZE WSPOMNIEN O KOMANDO GABLONZ

Z więzienia w Kielcach, gdzie byłem przesłuchiwany i torturowany, więziony w Częstochowie, Lublińcu i Wrocławiu dowieziono mnie do obozu Gross-Rosen. Tu od 3 listopada 1944 roku zostałem więźniem Nr 85051.

Po paru dniach z bloku 19 przeniesiono nas do bloku Nr 8, na którym otrzymaliśmy pasiaki. Dowiedziałem się, że będziemy wywiezieni z Gross-Rosen do filii obozu, ale nie mówiono gdzie. Tę wiadomością ucieszyłem się, ponieważ bałem się bardzyp, by nie skierowano mnie do pracy w kamieniołomach. W czasie pobytu w obozie wykonywałem różne prace porządkowe na terenie obozu, w związku z tym miałem możliwość zaobserwowania jak na każdym kroku ginęli więźniowie.

Pewnego dnia pracując w publiżu rewiru byłem świadkiem wywożenia zmarłych więźniów do krematorium. Jeden z niesionych na noszach jeszcze się poruszał i wołał "gdzie mnie niesiecie?" Ja chcę żyć a jednak z każdym krokiem idących był bliżej krematorium.

W połowie listopada wywożano mój numer obozowy i numery moich kolegów oraz innych więźniów, uformowano przy drodze głównej grupę około 500 do 600 więźniów, wydano dla każdego po kawałku chleba, wyprowadzono nas z obozu i pomaszerowaliśmy na stację kolejową, gdzie wsiedliśmy do podstawionych wagonów towarowych. W wagonie, którym jechałem pilnowali nas dwaj w starszym wieku esesmani. Traktowali nas dość względnie, nawet nie zjedzone przez nich odkrojone skórki chleba dali więźniom. Z Gross-Rosen do Gablonz jechaliśmy dwa dni, po drodze mieliśmy dłuższe postoje na bocznicach kolejowych.

Do Gablonz przyjechaliśmy wieczorem. Unieszczone nas na strychu w dość wysokiej wieżbie dachowej budynku, w którym na dole mieściła się stołówka dla pracowników fabryki i magazyny. Budynek ten był usytuowany na terenie o dość zróżnicowanej konfiguracji, od południa poziom terenu był wyższy, a od północy niższy. Do naszego bloku - pomieszczenia wchodziło się od strony zachodniej po stronomę drodze i schodach. Po prawej stronie korytarza mieściły się pokoje dla esesmanów i magazyn gospodarczy, a zanim było ustawionych kilka piętrowych łóżek dla chorych tzw. rewir. Po lewej stronie była kuchnia, a za kuchnią umywalnia, a za kuchnią z tyłu ubikacja, w których mieszkali kùchekapo i blokowy, następnie zbito z desek długie stoły i ławki, przy których więźniowie spożywali posiłki i odpoczywali w godzinach wolnych od pracy. 3/4 pomieszczenia strychu zajmowały dwupiętrowe łóżka. Przed udaniem się do snu należało na stołach złożyć ubranie-pasiak ułożony w kostkę z widocznym numerem więźnia na wierzchu, a trepy /trzewiki sznurowane na drewnianych spodach/ stawiało się na podłodze.

Po przyjeździe i wejściu do bloku wydano nam kolację. Byłem głodny, więc zjadłem wszystko; przypominałem sobie w czasie jedzenia słowa przestrogi więźnia z Gross-Rosen: "jeśli chcesz żyć i przeżyć to musisz jak najszybciej dostosować się do istniejących warunków w obozie, mieć oczy nieśdnie otwarte, nie pchać się do przodu i nie pozostawać w tyle, zjadać wszystko co otrzy-

masz, bo w żołądku jest pewne, natomiast skradzionego nie będziesz oglądał bo ci ukradną. Słowa te utkwiły mi w pamięci i często w różnych sytuacjach mając je na uwadze uchroniłem się od przykrych niespodzianek.

Na drugi dzień pracując w fabryce dwóch moich kolegów zwierzyło mi się, że w złożonych ubraniach w kostkę schowali sobie po kawałku chleba. Na drugi dzień, gdy się ubierali stwierdzili, iż w nocy ukradli im schowany chleb.

W fabryce będącej filią zakładów "Zeissa" w Jenie wykonywaliśmy elementy do reflektorów przeciwlotniczych. Ja pracowałem przy szlifierce.

W Gablonz poznałem i zaprzyjaźniłem się z więźniami: inż. Gwidonem Maro z Kielc, Rolandem Lenertem z Tych - obydwaj pracowali jako elektrycy i mieli uprawnienia poruszania się po całej fabryce - Zygmuntem Ołubcem z Bilczy k/Kielc /zmarł w końcu kwietnia 1945 r. w Gablonz/, Zbigniewem Mleczko z Krakowa oraz więźniem - nazwiska nie pamiętam - który przyjechał w styczniu 1945 r. z Oświęcimia w grupie 80 więźniów. Gdy pracowaliśmy w fabryce na noc na zmianę, to po przybyciu do bloku zaraz po śniadaniu udawaliśmy się na koniec bloku, między łózkami rozkładał mapę Europy i informował mnie, gdzie znajduje się front wschodni oraz które tereny na froncie zachodnim są zajęte przez wojska alianckie. Wiadomości te niezwłocznie przekazywałem swoim kolegom, bowiem wieści o zbliżającym się końcu wojny poprawiały nastrój więźniów.

W porównaniu do centralnego obozu Gross-Rosen w Gablonz warunki były o wiele lepsze pod względem pracy, bo praca w fabryce była łatwą, nie wymagała wysiłku fizycznego, a nawet interesującą, gdyby tę pracę wykonywało się w warunkach swobody a nie niewolniczych. Przy szlifierce, na której pracowałem, stała mała szafka, w niej były różne narzędzia i przyrządy jak suwmiarka, mikromierz i inne.

Obrabiane przez więźniów wyroby - półfabrykaty były sprawdzane przez majstrów czy zostały wykonane zgodnie z instrukcją. Na odzrucone braki niektórzy patrzyli z przymrużonym okiem lub zwracali więźniom uwagę, by starali się wykonywać pracę dobrze. Ale byli majstrowie, którzy za jakiegokolwiek niedociągnięcia stwierdzone w produkcji wołali postów a wraz z nimi zjawiali się kapowie i bili więźniów już na terenie fabryki.

Od połowy stycznia 1945 r. fabryka nie była ogrzewana, w bloku też było zimno, które oprócz głodu i wszy dokuczało więźniom bardzo. Stojąc w fabryce przy maszynie trzeba było nacierać ciało rękami na nogach i ramionach, bo z zimna nie można było stać bez ruchu. Drugi więzień pracował na innej maszynie za moimi plecami. Odstępowaliśmy od maszyn i stykaliśmy się plecami do siebie, by się wzajemnie ogrzać lub ogrzewaliśmy się przytulając do korpusów maszyn, które pracując były ciepłe. Ale gdy w takiej sytuacji spotkał więźnia majster lub kapo, więzień otrzymywał lanie. Po pracy każdy więzień obowiązany był przeszukać bieliznę i oczyścić ją ze wszy. Jeżeli w czasie kontroli znaleziono w jego bieliznie insekty, kładziono go na ławie, dwóch więźniów trzymało go za głowę i nogi przechylając go tylną częścią ciała do góry, wymierzano mu tyle uderzeń gumowym wężem ile znaleziono u niego wszy.

Również często w nocy zarządzano apele w bloku. Na środek pomieszczenia pędzono zbudzonych ze snu, kapowie i inni pomocnicy uzbrojeni w kije i gumy bili więźniów. Po takiej gonitwie kilku więźniów zostało rannych. Więźniowie najbardziej byli bici przez kucharza Kuchekapo oraz kapów rekrutujących się z



Maj 1978 roku - delegacja byłych więźniów komanda Gablonz za chwilę złoży wieniec na mogile zbiorowej pod pomnikiem. W oddali widać zabudowania fabryczne w których pracowali więźniowie. Na pierwszym planie od lewej Jadwiga Więckiewicz /strażnik w obozie brata/, Bernard Laskowski - nauczyciel z Grudziądza, Zofia Salomonowska - wdowa po więźniu, obok stoją: Stanisław Korba i Gwidon Maro z Kielc, na dalszym planie Vaclav Dvorak - sekretarz OV CSPB w Jablonec w rozmowie z Mieczysławem Mołdawą. W głębi Zenon Karpiński, Edward Krentzel, Eligiusz Grodzki i Jan Dudek - wszyscy z Warszawy.

foto archiwum Gross-Rosen 3.1.2.22.

więźniów radzieckich, a wśród nich Gruzin - Janek i Ukrainiec Saszka. Ci dwaj byli postrachem wszystkich więźniów w fabryce i w bloku. Blokowym był więzień narodowości niemieckiej. Chodził elegancko ubrany, spał w pojedynczej sztabie, którą sprząтали mu więźniowie.

Pewnego razu siedząc po pracy w ławkach zauważyliśmy, że blokowy wyszedł ze swego pokoju w ładnej wełnianej podkoszulce i spodniach pasiakach, uszytych z lepszego materiału wyprasowanych w kanty jak szasery, muskuły drgały mu jak mięśnie tygrysa, w ustach trzymał nie dopalonego papierosa. Przechodząc obok ławek rzucił tego papierosa na betonową podłogę. Na leżący niedopałek rzuciło się kilku więźniów. Błyskawicznie wpadł między nich uderzając kilku rękami i nogami. Oskoczyli na miejsce krzycząc z bólu więźniowie, jeden został na miejscu zabity, gdyż leżąc już otrzymał kopniaka w skroń i w gardło pod dolną szczękę. Był to starszy więzień - uczestnik Powstania Warszawskiego.

W drugiej połowie stycznia 1945 r. przerwano pracę w fabryce i zarządzono alarm na bloku. Wydano każdemu więźniowi po bochenku chleba i zakomunikowano nam, że będziemy pieszo maszerować do obozu koncentracyjnego w Dachau, odległego od Gablonz około 400 km. W warunkach zimowych chyba nikt by nie dotarł do tego obozu. Po kilku godzinach alarm został odwołany. Zabrano więźniom resztki chleba, jeśli któryś z więźniów zatrzymał sobie kromkę chleba na gorszą godzinę. Przez 4 dni nie otrzymywaliśmy przypadających nam porcji chleba.

W lutym i marcu w każdą niedzielę wyprowadzano nas na plac za blokiem i tam wykonywaliśmy biegi i ćwiczenia na śniegu. Po powrocie z takiego "spaceru" dawano nam mrożoną mocno paprykowaną surową sałatę, a później zimne piwo, po spożyciu tej sałaty i piwa wielu więźniów szło na rewir i stamtąd już nie wracali. Zmarłych i zabitych więźniów chowano w papierowych workach we wspólnym grobie, który mieścił się za blokiem.

Na początku kwietnia jeden z radzieckich więźniów zbiegł pracując w grupie poza terenem fabrycznym. Przy pomocy ludności cywilnej schwymano go i po dwóch dniach przywieziono do nas. Przykro było patrzeć jak na naszych oczach znęcano się nad nim, gdy już był mocno zbity zawiązano mu ręce wykręcone do tyłu i za przeguby rąk został powieszony w naszym bloku na linie uczeptionej przy belce. Wisiał całą noc i w nocy skonał. Na betonie była tylko niewielka kałuża krwi, która sączyła mu się z nosa i ust.

W kwietniu 1945 r. w fabryce pracowała tylko jedna zmiana. Ja z innymi więźniami pracowałem na torze kolejowym. Pewnego dnia, a było to pod koniec kwietnia pracowaliśmy obok siebie chyba z Bernardem Laskowickim z Grudziądza, a pilnował nas młody post i powiedział abyśmy się odsuwali od grupy, po tej czynności zapytał, który z nas zna język francuski. Wówczas Bernard powiedział, że nie tak dobrze zna, ale może się porozumieć. Post rozmawiał z nim w języku francuskim. W odpowiednio nadarzającej się chwili Bernard przetłumaczył mi jego wypowiedź. "Już niedługo będziecie się męczyć, lada dzień zostaniecie uwolnieni".

Zdaje mi się, że 5 maja wracając z pracy na torach zauważyliśmy w Gablonz na budynkach, w których mieściły się urzędy, wywieszone flagi przewiązane kirem, a na tablicach do wywieszania plakatów były nalepione ogłoszenia zawiadamiające o śmierci Hitlera i, że dowództwo nad armią niemiecką przejął Dönitz. W bloku siedzieli więźniowie z pierwszej zmiany, którzy tego dnia nie poszli do pracy w fabryce.

Wywożono nas z Gablonz wagonem towarowym kilka kilometrów poza miasto i tam na pewnym odcinku podbijaliśmy kamieniami podkłady kolejowe pod szynami. Pewnego dnia nie przyjechał po nas pociąg towarowy, więc pod wieczór wracaliśmy pieszo niosąc dwóch zmarłych przy pracy więźniów i kilka chorych, którzy nie mogli o własnych siłach iść. Przechodziliśmy przez pewną osadę, gdzie mieszkali i pracowali tam wywiezione polskie kobiety. Gdy nas zobaczyły, zaczęły płakać i mimo rozkazów wydawanych przez esesmanów "Raus-raus" rzuciły nam parę kawałków chleba. Esesmani już nie okazywali swojej agresywności i buty, jaka cechowała ich przed tym.

8 maja rano wydano nam po pół bochenka chleba, jeśli ktoś chciał mógł pobrać z magazynu podręcznego nowe trzewiki i bieliznę. Więźniów, którzy czuli się na siłach maszerować kilkadziesiąt kilometrów, ustawiono w szeregu. Tak zgrupowaną kolumnę więźniów wyprowadzono z bloku pod eskortą esesmanów i prowadzono nas drogą, a później szosą w stronę Tanenwaldu. Początkowo sądziliśmy, że wyprowadzają nas za miasto do lasu by nas rozstrzelać. Na drodze spotykaliśmy wojsko niemieckie i własowców maszerujące i jadące w różnych kierunkach. W lasach słychać było strzały. Koło godziny 13 doprowadzono nas do mostu na rzece przed Tanenwaldem i tam przekazano nas przedstawicielom Czeskiego Czerwonego Krzyża.

W Tanvaldzie Czesi przygotowali dla nas dietetyczne posiłki i nocleg. Nareszcie byliśmy wolni. Z Edkiem Krentzelem ucałowaliśmy się z radości, umyliśmy twarze w strumyku i poszliśmy do stołówki na przygotowany posiłek. Krupnik, chleb z dżemem i kawa była dla nas obiadem i kolacją. Na drugi dzień pomaszerowaliśmy do Żelaznego Brodu. Resztę więźniów z bloku i chorych z rewiru w dniu 9 maja Czesi przywieźli samochodami i umieścili w szpitalu w Żelaznym Brodzie. Czesi otoczyli nas troskliwą opieką. Zawszone pasia-ki i bieliznę obozową zdjęliśmy na placu przy fabryce w Żelaznym Brodzie i tam odzież ta została spalona. Nas zaprowadzono do łaźni, wykąpaliliśmy się i otrzymaliśmy świeżą odzież i bieliznę oraz skórzane obuwie.

W Żelaznym Brodzie byłem około 5 dni. Otrzymałem od władz miejskich przewodni list uprawniający mnie do wolnego przejazdu i wraz z paru kolegami z obozu wyruszyliśmy w drogę do Polski. Oni jechali do Warszawy, ja do Kielc.

Do domu rodzinnego w Micigoździe dotarłem dopiero w końcu maja. W drodze zachorowałem i leżałem w szpitalu na Śląsku - w Rybniku. 12 czerwca 1945 r. zgłosiłem się do Polskiego Czerwonego Krzyża w Kielcach. Tam zostałem zbadany przez lekarza, który stwierdził u mnie zacieki górnych szczytów płuc oraz inne objawy różnych dolegliwości poobozowych. Długi czas byłem na diecie, a nogi puchły mi w kostkach do kolan przez długi czas. Często przyjeżdżał do mnie wójt gminy Piekoszon prosząc mnie bym powrócił do pracy w Urzędzie Gminnym, bo odczuwają brak pracowników. W lipcu przystąpiłem do pracy w Zarządzie Gminy Piekoszków i od tej pory pracowałem bez przerwy aż do września 1978 r.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.8.



Młody więzień Polak otrzymał
pierwszy posiłek na wolności

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.1.46.

WSPOMNIENIE Z OKUPACJI

Ponieważ, że znam wspomnienia innych Kolegów z racji, że jestem członkiem redakcji wydawnictwa "Przeżyliśmy Gross-Rosen" ograniczam się w faktach ażeby się nie powtarzać.

Do Niemiec zostałem wywieziony w maju 1944 r./miałem wtedy 15 lat/, pracowałem przy budowie w Hartmanendorf koło Erkner. Uciekałem stamtąd do Polski ale mnie zatrzymano przy przejściu granicy GG koło Kutna. Na pytanie żandarma co ja tu robię odpowiedziałem, że w Warszawie mieszkanie zburzone a ja jadę do Niemiec na roboty. Dali mnie zjeść a na drugi dzień przekazano mnie do jadącego transportu. Znalazłem się w Luckenwalde niedaleko miejscowości Bitterfeld. Po umówieniu się z kol. Gieńkiem Zawodzińskim, którego znałem z W-wy, we wrześniu uciekaliśmy w stronę Szwajcarii. Zatrzymano nas już niedaleko granicy. Na pytanie co tu robimy, ta sama odpowiedź - szukamy pracy. Podaliśmy inne nazwiska - ja Kwiatkowski - on Paszkowski, ale widocznie nam nie uwierzono. Zaprowadzono nas do budynku policji - kazano czekać. Przez ten czas zjedliśmy swoje dokumenty na których były nasze prawdziwe nazwiska. Wzywano nas pojedynczo, przesłuchiowano i dokonano rewizji, przy mnie znaleziono bilet kolejowy z Rizy koło Drezna, powiedziałem, że go znalazłem, ale widocznie w to nie uwierzono, gdyż po dwóch dniach pod eskortą zostaliśmy przesłani do Prezydium Policji w Dreźnie. Przez 3 tygodnie przesłuchiowano i bito mnie do utraty przytomności w dzień lub w nocy. Straciłem zęby i byłem cały siny i pokaleczony. Siedziałem na zmianę raz w celi suchej tak, że z gorąca pękały wargi, raz w celi, gdzie była woda na podłodze. W październiku 44 r. zostałem przesłany razem z kol. Gieńkiem do Gross-Rosen. Straciłem nazwisko, stałem się numerem. Przesłani zostaliśmy na blok 10. Blokowym był Tadek - Polak. Zaraz w tym samym dniu lub nazajutrz po przybyciu stało nas kilku przed blokiem; przechodził esesman, ja nie zdjąłem przed nim czapki i nie stanąłem na baczność - Niemiec zaczął krzyczeć i wtedy podbiegł do mnie blokowy i uderzył mnie w okolicę żołądka, zrobiło mi się ciemno i poczułem ból. Za pewien czas zawołał mnie do swojego pokoiku i zaczął przeproszać, tłumaczyć i wypytawać się skąd zostałem przywieziony, odpowiedziałem że z W-wy a ostatnio z więzienia i pokazałem mu swoje plecy i ręce. Do pracy w kamieniołomach nie chodziłem, sprzątałem w bloku, koło bloku, latrynę która była w pobliżu bloku oraz przywoziłem posiłki. Ale przed samym wyjazdem byłem w pracy w kamieniołomach raz lub dwa razy. Tak że znam tę pracę nie tylko z opowiadań. Do pracy i z pracy szliśmy kolumnami po 5 osób w rzędzie w tempie marsza, "na baczność". Zmorą obozową były apele szczególnie te wieczorowe. Stanie w samych pasiakach, obojętnie czy to było zimno, padał deszcz lub silny wiatr. Nieraz staliśmy do późna w nocy podtrzymując chorych lub martwych kolegów aż Niemcom zgadzał się stan. Koło naszego bloku były podwójne druty kolczaste pod napięciem, a pomiędzy nimi tory po których więźniowie z karnej kampanii wozili kamienie. Zawieźli w jedną

stronę wagonik; przez przechylenie wyładowali. Załadowali na powrót tę samą porcję i tak przez cały dzień. Niektórzy nerwowo nie wytrzymywali, szli na druty - ginęli. W początkach listopada 1944 r. zostałem przewieziony na komando Gablonz. Był to transport około 500 osób. Byli to uprzednio wybrani fachowcy. Ja wówczas byłem uczniem gimnazjum mechanicznego z Warszawy w zawodzie frezera. Zostałem przydzielony na dział frezerski. Działy były od siebie odgródzone siatką tak, że z działu na dział nie można było przejść. Było to także niemożliwe ze względu na obecność kapo, wartowników lub majstra, któremu trzeba było się meldować przy wyjściu za swoją potrzebą. Poza tym każdy z nas miał przyczepioną do pasiaków /oprócz numeru więźnia/ okrągłą blaszkę o śr. 40 lub 50 mm malowaną na kolor, który obowiązywał na danym dziale; np. frezerzy białą kolor, tokarze czerwony kolor itp /lub odwrotnie/. Zresztą czasu na chodzenie nie było, a można było narazić się na dodatkowe bicie. W fabryce wykonywaliśmy części do pistoletów automatycznych /typ szmaiser - rozpylacz/i części do reflektorów. Zorientowałem się od początku, gdyż po szkole umiałem czytać rysunek jak i znałem trochę język niemiecki. Pracowaliśmy na dwie zmiany od 6⁰⁰ do 18⁰⁰ i od 18⁰⁰ do 6⁰⁰. Nie było specjalnej grupy sabotażowej ale psuliśmy co się da; - detale lub narzędzia skrawające. Na baraku rozmawialiśmy o tym i w zaufaniu jeden drugiemu przekazywał jak można psuć nie narażając się na represje ze strony nadzoru. Wykonywaliśmy dla siebie cygarniczki, pierścionki, nożyki i tp. W moim wieku było kilku chłopców razem z ojcami, a mną że tak można to nazwać opiekował się Gurgul Kazimierz z Nowego Sącza /piekarz/ z którym pracowałem na jednej zmianie. Można było dostać pałkę gumową lub drewnianą, wyróżniał się tym mały wzrostem i koślawy, którego zwaliśmy "piplem". Będący na funkcji w Gablonz Jaszka i Ukrainiec Szaszka byli także postrachem więźniów /jeden z nich jak się później dowiedziałem został rprzstrzelany przez Czechów/. Zmora naszą były wszy, ktoregoś dnia kapo zapowiedział, że za 2 wszy daje papierosa i tak było. Zebrało się dużo więźniów jak najbliższej światła, ja także i swoje wszy dałem jednemu lub dwóm kolegom, gdyż ja nie paliłem papierosów. Kapo zebrał tych wszystkich na środek baraku i zamiast papierosów kazał skakać żabką, naokoło stali wszyscy funkcyjni i bili czym kto miał i gdzie popadło. Dużo kolegów było ciężko pobitych i skopanych. Proszę wyobraźcie sobie moje uczucie, do dzisiejszego dnia mam wyrzuty sumienia i jak załatwiam jakąś sprawę analizuję czy nie skrzywdzę innej osoby. Dobrze tego nie pamiętam, ale w jakieś święta otrzymywaliśmy dodatkowo po trzy lub cztery ziemniaki w mundurkach z tego 1 lub 2 nadawały się do zjedzenia, ale dla nas był to rarytas i wszystko było zjadane. Kilka razy byłem obierać brukiew /ziemniaki dla Niemców/. Przychodząc z obieralni kűchenkapo kazał nam przemyć kawałki brukwi i ziemniaki składać na kupkę i byliśmy poddawani rewizji, przy kimś coś znaleziono - baty. Kűchenkapo gotował nam zupę z tych produktów raz jednego na psa. /Słyszałem że tego psa zabił Kazio Jastrzębski ale jak było naprawdę nie pamiętam/. Zupa ta była ugotowana w kotłach przeznaczonych do gotowania bielizny ale jak sobie przypominam pranie odbywało się przez zamaczanie i wkładanie na siebie mokrego ubrania. Blockführerem był esesman ze Śląska, poprawnie władający językiem polskim, nazywaliśmy jego "pięćdziesiątka" /gdyż za przewinienie kazał dawać tyle batów - 25/, i nie wiem dlaczego kazał nam śpiewać w ojczystym języku "Góralu czy ci nie żal.." śpiewaliśmy tę arie za barakiem na małej polance jednocześnie susząc na sobie "uprane" pasiaki. Staliśmy

tak na śniegu i chętnie to śpiewaliśmy. W czasie takiego jednego śpiewania blockführer zakatował na śmierć jednego z więźniów dlatego, że ruszał ustami a nie śpiewał /nie był to Polak więc skąd mógł znać słowa tej piosenki/. Uczono nas piosenek w języku niemieckim, jedna z nich wychwalała przełożonych, druga zaś była w rytmie marsza i mówiła o tym, że jesteśmy dobrymi pracownikami i chętnie pracujemy.

Wir heute fröhlich singen
Seit grgrüsst vieltausen mal
Der heutige Tag zum ehren
Das singen das ist lauter shall
Tra la la tra la la

Wir sind Arbeiter von Lager Reinowitz
Darumran alle Mann
Früh um sechs fängt bei un die Arbeit an
Darum ran alle Mann.

Tę ostatnią piosenkę śpiewaliśmy chodząc naprawiać tory kolejowe.

Na krótki czas przed wyzwoleniem skaleczyłem sobie nogę, zaczęła mnie puchnąć i ropieć. Zgłosiłem się na rewir ale sanitarium Adam nie kazał pokazywać tej nogi doktorowi, pomagał mnie w jakiś sposób owinał bandażem papierowym i kazał iść do pracy. Nadszedł dzień wyzwolenia była to dla mnie potrójna radość urodziłem się 7 maja, imieniny 8 i wolność. Przy pomocy kolegów z ledwością doszedłem do Tanwaldu. Pozostanie na rewirze jak i nienadążanie iść razem z kolumną groziło śmiercią, takich esesmani bezpardonowo zabijali. Ludność czechosłowacka witała nas serdecznie, wynosili nam do jedzenia co kto miał. Widziałem jak jeden więzień wypił prawie cały kubełek polewki /zupy/ i w męczarniach skonał. Zostałem umieszczony w szpitalu /budynek szkolny/ w Żelaznym Brodzie dowiedziałem się, że mam w nodze gangrenę. Dostałem świeżą krew. Poza dyplomowanymi pielęgniarkami opiekowała się mną Adela Duchaciova - mieszkanka Żelaznego Brodu. Jak już się dobrze czułem byłem kilka razy u jej rodziców w domu.

W m-cu lipcu 1945 r. wyposażony w zapasowe ubranie /mundury polniemieckie/ dwie pary butów, bieliznę osobistą i pościelową oczywiście i w jedzenie serdecznie żegnany wyruszyłem do Polski. Po przekroczeniu granicy, pod pozorem szukania broni zostało mi wszystko zniszczone lub wyrzucone przez okno jadącego wagonu. Nawet taki mały domek ze szkła, który dostałem na pamiątkę od Adeli został rozbity a druciki złotego koloru wzięte jako "złoto". Przy pomocy współwięźnia Rosjanina, który miał na imię Paweł zgłosiłem ten przypadek do NKWD - obiecali pomóc albo jak ich zobaczę zgłosić. Chodziłem po danej miejscowości /obecnie nie pamiętam tej nazwy/ pamiętam, że to była stacja końcowa i było dużo torów kolejowych. Za jedzenie ludzie kazali sobie płacić, a ja nie miałem pieniędzy ani w ogóle nic poza tym co na sobie: mundur polniemiecki, buty i bieliznę. Mówiąc, że wracam z obozu śmieli się ze mnie. Dowiedziałem się, że będzie pociąg do Warszawy już od stacji nie odchodziłem a po sformowaniu pociągu wsiałem do wagonu i dojechałem do stolicy. Chociaż obiecałem, że niedługo powrócę do Adeli - obietnicy nie dotrzymałem, gdyż musiałem się zająć dwójgim młodszego rodzeństwa, którzy byli sierotami. Z Adelą kilkakrotnie wymienialiśmy korespondencję. Kiedy była wycieczka do Żelaznego Brodu dowiedziałem się, że już nie żyje.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.12.

Z HARTSMANDSDORF DO GABLONZ

W miesiącu lutym 1944 roku rozpoczęła się ewakuacja więźniów Komanda Hartsmandsdorf. Pierwszym transportem ciągnąc na zmianę wozy z dobytkiem załogi esesmańskiej wyruszył transport na zachód. Kilka dni trwał ten marsz śmierci, gdyż słabszych więźniów dobijano w drodze. Więźniów transportowano w kierunku Buchenwaldu. W Zittau oddzielono grupę 30 więźniów-fachowców i skierowano w kierunku Komanda Gablonz. W tej grupie był również Eugeniusz Ruszkowski, który tak opisuje dalsze swoje losy.

Zdziesiątkowani, dotarliśmy do przedmieść Zittau. Miasto płonęło, na noc ulokowano nas w jakiejś rozbitej hali fabrycznej, a rano ogłoszono, że będą wybierać primadrahery /najlepszych tokarzy/ do fabryki Luftwaffe. Byłem na przodzie kolumny, nasi oprawcy nie wiedzieli, co z nami robić, zaczęli więc okrutnie bić. Pamiętam tylko rozwścieczone oczy jakiegoś wachmana z pałą w ręku, zostałem uderzony w czaszkę, upadłem, czułem jeszcze, że jestem rozdeptywany i straciłem przytomność. Jakby przez sen usłyszałem słowa: "wo ist nr 2808", a gdy otworzyłem oczy, zdałem sobie sprawę, że leżę pod ścianą hali, a cały obóz już mija bramę. Do mnie nagle podbiegło dwóch żołnierzy w mundurach Luftwaffe, ucieszonych, że mają ten nr 2808. Okazało się, że jakimś cudem znalazłem się w grupie 30 oddzielonych od obozu, który pognano do Buchenwaldu/jak się później dowiedziałem/. Świadomość, że nie ma nad nami SS-manów i psów postawiła mnie na nogi. Każdy dostał bochenek wojskowego chleba, ćwiartkę margaryny i kompania żołnierzy Luftwaffe, pod dowództwem sierżanta, mówiącego z czeskiego po polsku, odprowadziła nas na południowe przedmieście Zittau. Po godzinnym postoju, wolnym krokiem ruszyliśmy na nową drogę życia.

Maszerowaliśmy 2 dni, z noclegiem w jakimś lesie i pod wieczór drugiego dnia dotarliśmy do miasta Gablonz-Reinowitz. Dobra opieka żołnierzy skończyła się, oddali nas w ręce obsługi złożonej z esesmanów, która pilnowała nowego obozu i hal fabrycznych, gdzie produkowano reflektory obrony przeciwlotniczej. Zamiast baraków obóz urządzony był na poddaszu olbrzymiej hali fabrycznej, apelplatz również był pod dachem. Po przyjęciu na bramie fabrycznej, droga do obozu rozmiękła po opadach, szła pod górę. Na przywitanie dostaliśmy około stu razy "hinlegen i auf". Wymęczeni marszem śmierci, utyłkani w błocie, byliśmy wpędzeni po jakimś pomoście na teren obozu. Z miejsca zdarte z nas ubranie, bieliznę, drewniak i do waschraumu, bez jedzenia zapędzono nas po dwóch pod jednym kocem na cuchnące wyra. O 3 rano pobudka, przydzielono nam okropnie podarte ubranie, coś niby drewniak na nogi i do roboty, do hali oddległej około 50 m od obozowego poddasza. Przydzielono nas do maszyn tokarskich przestarzałego typu, przy których praca była bardziej wyczerpująca, a wymagania majstrów większe niż w Hartsmandsdorfie. Do 12-godzinnych dni pracy, na obozie nie było już sportu, ale nękały nas okropne wszy, z którymi nie mogliśmy sobie poradzić. Po pracy dwie - trzy godziny trzeba było siedzieć nago i szukać robactwa. Po codziennym wybiciu dziesiątek gnid i wszy ubranie i bieliznę kontrolowali kapowie za pomocą bardzo silnych lamp. Wszy

były w stołach, w pryczach, a bieda temu, kogo kapo podał, że nie wybił wszy w ubraniu. Ubranie zabierano takiemu więźniowi do parowania, a jego wprowadzano do pomieszczenia z betonu szerokości 1 m i z góry, z rur, puszczano na przemian lodowato zimną i gorącą wodę, tak że skóra płatami schodziła. Po godzinie takiej kuraacji wszy ginęły, ale więzień już nie był w stanie żyć. Dostawał wyparowaną bieliznę, ale zamiast wszy zaczynała się gorączka, opuchlizna i koniec. Jednego więźnia za znalezienie gnid we włosach, kapo utopił w wiadrze wody, trzymając tak długo jego głowę, aż skonał.

Plagą naszą byli w tym obozie kapowie przywiezieni z ewakuacji Oświęcimia. Byli to niemieccy kryminaliści z czarnymi winklami, nimi to wyręczali się SS-mani, bo sami bali się wszy i tyfusu. Nadeszła Wielkanoc 1945 r., fabryka świętowała. Cały obóz popędzili na tory kolejowe do czyszczenia podkładów z brudu i zielska. Tam to na dziesięciu więźniów dano kapo - mordercę z Oświęcimia, który się wyżywał bijąc, kopiąc, a obsługa SS z boku rechotała patrząc, jak to więźniowie sami siebie wykańczają.

Nad grupą, w której pracowałem, młody kapo, z zawodu rzeźnik, był bandytą z czarnym winklem. Mówił po polsku, chwalił się, jak jemu w Oświęcimiu było dobrze, jaki to był czysty obóz, zorganizowany na medal, nie tak jak tu, w Gablonz. Pod jego opieką byłem tylko jeden wielkanocny dzień i to już miałem szyję i plecy tak posiniaczone, że ledwo się przywlekłem do obozu. W kwietniu 1945 na ogólnym apelu ogłoszono, że z więźniów obozów koncentracyjnych chcą utworzyć pomocniczą armię, dają pół godziny do namysłu i odbędzie się komisja kwalifikacyjna. Po naradzie w grupkach koleżeńskich postanowiliśmy wszyscy stawać na tę komisję, bo nie wiadomo było, o co tu chodzi i co to za pomysł. W tym czasie było w obozie około 300 więźniów. Rozebrani podchodziliśmy kolejno przed stół, przy którym zasiedli w białych kitlach niby to lekarze, ale w mundurach SS. Padało pytanie: numer więźnia i w jakiej formacji wojskowej służył, po czym krytycznie popatrzeni na szkielety pokryte skórą i zapowiedzieli, że na urodziny ich wodzą /20 kwietnia/ będziemy już na lepszym, bo wojskowym wikcie. Na tym wszystko się skończyło. Co było celem tej imprezy, nikt nie wiedział. Po wszach klęską nr 2 obozu Gablonz był ogólny brak soli: wodniste nie solone zupy zdziały, że szkorbutem objęci byli wszyscy więźniowie. Gdzieś w kwietniu jeden z wachmanów ułożył piosenkę zaczynającą się od słów: "Wird sind Arbeiter won lager Reinowitz" składającą się z 4 strofek i wychwalającą najwięcej lagerführera i wszystkich SS-manów. Komendanta obozu nazywał jasnym słońcem, naszym ojcem. Musieliśmy uczyć się tych słów po niemiecku i, uderzając trepmi w takt marszu, śpiewać, a tu przez gardło głosu nie można było wydobyć. Dwóch SS-manów nadsłuchiwało i kto nie śpiewał, to go na bok i bicie drągami do upadłego. Jeden pokraczny wachman, który może był twórcą tej piosenki, wykrzykiwał po polsku: "Wy bandyty nie chceta śpiewać ty piosenki, to chyba matka w domu ucyła was śpiewać. Pod Twoją Obronę, dali śpiewać do Ty swój święty matki". Śpiewaliśmy więc i naprawdę był to śpiew płynący z głębi serca i duszy, a on jeszcze bardziej się wściekał, rycząc "To umita, a o swoim dobrym ojcu - komendancie to nie". Nigdy ta piosenka nie wyszła nam na medal pomimo szykan i różnych prób, nikt nie nauczył się słów na pamięć.

Na początku marca na apelu było 500 - 600 więźniów, a w dniu 8 maja wolność odzyskało około 100 więźniów. 1 maja nie miałem siły stać na wieczornym apelu, oberkapo zawłókł mnie na rewir, odgradzony kocami od reszty obozu i ze słowami "zdychaj tu" zostawił

mnie na rewirze. Rano o 3 apel i słyszę, jak szukają nr 2808. Okazało się, że kapo zawlókł mnie na rewir, ale do raportu nie zgłosił tego ubytku. Dopadł mnie na rewirze oberkapo /przedwojenny bokser/, przyciągnął na apel i lewym prostym rozbił mi szczękę. Zachrobotały moje luźne już wtedy zęby, poczułem smak krwi w ustach i zwałem się pod nogi samego lagerführera. Kapo zaczął mnie jeszcze kopać, ale sumienie lagerführera nie wytrzymało; kopnął w tyłek oberkapo, a mnie rozkazał zanieść na rewir. Rewir - szpital obozowy - było to miejsce, z którego nikt nie wyszedł o swoich siłach; tam już nie dawano nawet tej wodnistej lury, więzień był skazany na długotrwałą mękę konania, zależną od wytrzymałości organizmu. Łóżka piętrowe zestawiono po dwa, więźniów kładziono po czterech. W ciągu pierwszych trzech nocy moi koledzy zmarli; z czwórki zostałem sam jeden. Nie miałem siły policzyć, ale myślę, że było nas na rewirze 30 do 40 chorych.

Nadszedł wreszcie dzień 8 maja 1945 roku. Pobudki nie było słychać, a około godziny 6 krzyki "ewakuacja". Z magazynów wydają lepszą odzież, trepy i szykują obóz do wymarszu. Leżę w przedśmiertnej gorączce i nagle przyszło do mnie dwóch kolegów jeszcze z Pawiaka i żegnają się ze mną. Ja ze łzami błagam ich o przyniesienie jakiegoś okrycia i wyprowadzenie mnie z rewiru, bo wiem, że rewir będzie zlikwidowany. W ogólnym chaosie ewakuacyjnym przynieśli mi pasiaki, myckę i trepy i wyprowadzili mnie do kolumny ewakuacyjnej opuszczającej już teren obozu. Podtrzymywany przez nich, miałem jeszcze tylko tyle siły, żeby nie upaść. Marsz ten trwał 600 - 800 m. na przedmieście Gablonz, gdzie spędzono nad na łączkę między małym strumieniem i główną drogą w góry. Momentalnie usnąłem, a sen ten na tyle mnie pokrzepił, że gdy usłyszałem okrzyk: "Alles antreten", przy pomocy tych samych kolegów stanąłem w szeregu. Nagle od gór słychać chróbot czołgów i z za zakrętu wyłażą 4 czołgi z czarnymi krzyżami. Już zaczęliśmy się żegnać, że to koniec, ale z jednego czołgu wychyliła się ręka z czeską chorągiewką i usłyszeliśmy okrzyk "na zdar". Byli to nasi wyzwoliciele, czescy partyzanci. Po przemowie lagerführera i cywila z opaską C.K. czołgi naszą eskortę SS-manów z psami pognali do miasta, a nasz cały obóz w mgnieniu oka się rozbiegł, pozostało dwóch, ja i kolega, którzy nie mieliśmy siły do ucieczki. Następnego dnia partyzanci czescy przewieźli mnie i kolegę do m. Żelazny Bród, a komisja lekarska przydzieliła nas do szpitala w Semile, gdzie zostaliśmy poddani intensywnemu leczeniu. 7 lipca 1945 r. przez Hradec-Kralove, Bohumin, pod serdeczną opieką lekarską, zostaliśmy odwiezieni do Polski.

Tyle utrwaliło się w mojej pamięci. Jak mogłem przeżyć to piekło? Tylko dzięki temu, że pomimo tych katuszy miałem siły do codziennej modlitwy i, prosząc Matkę Boską o przetrwanie, zostałem wysłuchany i tylko dzięki tym modlitwom doczekałem wolności. Przeżycia te spisałem dnia 21 marca 1985 roku.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.10.



8 maja 1945 roku. Po marszu ewakuacyjnym więźniowie zostali oswobodzeni w Tanvaldzie. Pierwszy ratunek oswobodzonemu więźniowi podaje życzliwa ręka

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.1.2.

MOJE WSPOMNIENIA Z OBOZOW KONCENTRACYJNYCH:
MAUTHAUSEN, GUSEN, GROSS-ROSEN I GABLONZ

Nie będę tu opisywał Powstania i gehenny, przez jaką przeszli ludzie, którzy wyszli z Warszawy płonącej i zniszczonej. Wspomnienia moje zacznę od momentu wyjazdu z obozu przejściowego w Pruszkowie.

Załadowano nas do wagonów towarowych po 60 mężczyzn, starych, chorych, w średnim wieku i młodych. Po długim oczekiwaniu na bacznicę kolejowej na odjazd, w upale i zaduchu przy zamkniętych drzwiach i bez kropli wody, jedzenia i palenia, co słabsi zaczęli już walczyć o dostęp do okienka zadrutowanego drutem kolczastym, gdzie mieli nadzieję złapać więcej powietrza. Gdy pociąg nareszcie ruszył, w miarę nabierania rozpędu sytuacja stawała się nieco lepsza pod względem dopływu powietrza. Nie pamiętam jak długo jechaliśmy, ale ci, którzy stali bliżej okienka i znali większe miasto, stwierdzili, że jesteśmy w Częstochowie. Z innych wagonów dosłyszeliśmy pieśń "Kto się w opiekę" i my również zaczęliśmy śpiewać. Po jakimś czasie usłyszeliśmy niemieckie ryki "ruhe", ale kto by tam zwracał na to uwagę. Gdy na początku składu usłyszeliśmy strzały, pieśń początkowo przycichła, aby następnie ze zdwojoną siłą wybuchnąć na nowo. Nie pamiętam, w jaki sposób nasz wagon obiegła wiadomość, że Niemcy, nie mogąc uciszyć transportu, strzelali na oślep do wagonów. Ja jechałem w końcowych wagonach z Ryśkiem i Władkiem Paduchowskim, Mackiem Zenkiem Czerwińskim, Zbyszkiem "Czarnym", z którymi utworzyliśmy w kącie wagonu pakę. Po lekcji częstochowskiej zabraliśmy się do piłowania podłogi w wagonie, bowiem okazało się, że Władek /kiciasz, który załatwiał węgiel z wagonów na trasie Wawer-Radość/ ma piłkę do cięcia metalu. Niełatwa to sprawa wyciąć dziurę w podłodze wagonu; bardzo długo piłowaliśmy i dobrze każdy z nas się namęczył, a gdy otwór był gotowy, okazało się, że jesteśmy już poza granicą GG. Zastanawialiśmy się, czy skakać, jednak pozostali mężczyźni prosili nas, aby tego nie robić, bo jak Niemcy zobaczą brak 6 ludzi i dziurę w podłodze, zastrzelą wszystkich. Po dłuższej naradzie z całym wagonem odłożyliśmy tę sprawę na dalszy plan, tym bardziej, że współtowarzysze zaczęli nas przekonywać, że Niemcy wywieżą nas na roboty, nie ma więc potrzeby ryzykować życiem, bo o ile nie zastrzelą uciekających z karabinu maszynowego ustawionego na dachu ostatniego wagonu, to żandarmi nas natychmiast wyłapią. To właściwie nas przekonało, postanowiliśmy czekać na dalszy rozwój wypadków. Tymczasem pociąg minął już Ostrawę, a zatem byliśmy w Czechosłowacji. Nawet nie wiadomo, kiedy nastąpił zgon pierwszej ofiary podróży, która już nie wytrzymała trudów. Zwłoki Władek ułożył w regu wagonu, przy okazji przejechał się po kieszeniach, ale nic nie znalazł. W taki sposób dojechaliśmy do Wiednia, gdzie pociąg zatrzymał się na bacznicach i eskorta otworzyła drzwi, pozwalając nawet wyjść z wagonów. Widocznie już nie obawiali się ucieczki pasażerów, skorzystaliśmy więc skwapliwie z okazji i pobiegliśmy do urzędnika,

które napełnia parowóz wodą. Tu, napiwszy się do syta wody, nieco się umyliśmy. Jeden z kolegów zaproponował, aby zorganizować coś do jedzenia, ale gdzie i od kogo? Okazało się, że jest również kilka wagonów kobiet, więc Rysiek i Władek, spryciarze co niemiara, nawiązali już kontakt i otrzymali trochę pomidorów, kilka papierosów i odrobinę cukru. Pożywiwszy się nieco, zaczęliśmy szukać znajomych i okazało się, że jest ich paru: Kazik, "Mrówka", Zbyszek "Mały" i jeszcze kilku, których jednak tak dobrze nie znałem. Ponieważ nie najgorzej znałem język niemiecki, koledzy prosili, abym porozmawiał z konwojentami, gdzie nas wiozą i co zamierzają zrobić. Upatrzyłem starszego wiekiem podoficera i nawiązałem z nim rozmowę. Według jego oświadczenia, mamy jechać do Linzu, gdzie nas odpowiednio, według zawodów, rozdzielią do fabryk. Staliśmy w Wiedniu około pół dnia, tzn. gdzieś od godz. 9⁰⁰ do 16⁰⁰, kiedy padł rozkaz wsiaść. Jedziemy dalej. Zapada wieczór, jedziemy, jest 1 września 1944 r., pociąg gdzieś staje. Bardzo rano znów się zatrzymujemy, słychać szczekanie psów, wyglądamy przez okienka; okazuje się, że transport jest otoczony przez SS-manów z psami. Otwierają się drzwi, po dwóch stronach SS-mani z automatami, wrzeszczą: "aussteigen, ferfluchte polnische Banditen", nie szczędząc przy tym kopniaków i razów pejciami. Transport momentalnie wyładowano. Chciało mi się śmiać pomimo grozy sytuacji, ponieważ najbardziej chorzy przez całą podróż, najzwawiej wyskakowali z wagonu. Ustawiono nas po 5 ludzi w rzędzie, czekamy. Rozglądam się, ładna stacja, czysto. Przed nami duża góra i droga wysadzona drzewami. Pomimo postanowienia trzymania się razem paką, okazało się to niemożliwe już w pierwszej chwili. Stoję w piątce obok "Mrówki", nie wolno rozmawiać, chłopcy są przed i za nami. Widzimy, jak w górę pnie się kolumna, a na górze widać jakiś dymiący komin. Pewno fabryka, o której mówił podoficer. Kolej na nas, ruszamy. W jednej grupie 100 ludzi, po bokach strażnicy z psami. Okazuje się, że droga jest dość długa i cały czas pod górę, a wydawało się tak blisko. W górach należy inaczej oceniać odległość. Sapiąc jak lokomotywy zbliżamy się do bramy z jasnego kamienia, tak jak i baraki. Uderza wprost idealna czystość. Ale co za dziwny napis, wykonany w półkole, nad bramą: "Arbeit macht frei". Cieszymy się, że odpocznimy, a może się i wykąpiemy. Pada komenda "Achtung", nikt nie wie, co to znaczy. Przechodzimy przez bramę. Tu widać dziwnie ubranych w szaro-niebieskie pasiaki ludzi. Prowadzą nas w kierunku dużego baraku, za którym widać wysoki komin, a z niego bije czarny, ciężki dym. Nad barakiem napis: "Waschraum", a przed nim tłum ludzi.

Ukazują się więźniowie, którzy obejmują komendę nad nami i dopiero teraz objawia się w całej grozie miejsce, w którym się znajdujemy - obóz koncentracyjny Mauthausen.

Ponieważ praca i warunki życia w obozie zostały już dokładnie opisane w książkach, nie będę powtarzał ogólnie znanych szczegółów, dodam tylko, że ja również pracowałem w kamieniołomie i nosiłem kamienie do dalszej rozbudowy obozu. Pierwszy mój barak to B-24, którego blokowym był znany sadysta, Niemiec. Grupa nasza została rozdzielona, chłopcy pracowali również w kamieniołomie, ale w innych komendach. Z rozpaczy i grozy zagubiłem rachubę czasu. Przyszła zima, wielu nie wytrzymało, zwłaszcza starszych, i wyfrunęło przez komin. Zostałem przeniesiony do Gusen II, gdzie spotkałem Władka Wapińskiego, kolegę z harcerstwa z 24 WDH im. Zawiszy Czarnego w Wawrze. Trochę sobie popłakaliśmy, ale to nie przyniosło nam ulgi. W Gusen mieszkaliśmy w baraku Nr 1, a do pracy dowożono nas kolejką obok sadu, gdzie jak na ironię na drzewach wisiały piękne gruszki,

a my umieraliśmy z głodu. Tu również spotkałem p. Jana Świącickiego, sąsiada, który mieszkał w Warszawie, ul. Grochowska 4, pracował w PZO i miał warsztat tokarski, a z którego synem Ryskiem przyjaźniłem się. Bardzo lubiłem chodzić do tego warsztatu, bowiem p. Świącicki pozwalał mi od czasu do czasu potoczyć na tokarni. Miałem wówczas, przed wojną, 15 lat i bardzo mi to imponowało. Teraz spotkaliśmy się w tak strasznych warunkach, że ani on mnie, ani ja jemu nie mogłem pomóc. Pracowaliśmy nawet w jednym komando transportkolonne, a zadaniem naszym było dostarczanie materiałów budowlanych i stempli do sztolni, którą inni drążyli w skale.

Na jednym z apeli ogłoszono, aby wystąpił kto jest optykiem. Ponieważ p. Świącicki spełniał te warunki, postanowił wystąpić. Ja zatrzymałem go, aby tego nie robił, ponieważ zostanę sam, wówczas namówił mnie, abym się zgłosił, że jestem tokarzem, chociaż byłem kreślarzem i nie znałem się na obrabiarkach. Bałem się, że mnie zabiją za kłamstwo, ale "pocieszył" mnie, że tak czy inaczej nie przeżyję tego obozu, a może uda się przejść do innego komanda. Wystąpiliśmy razem. Po spisaniu numerów wróciliśmy do baraku, gdzie Świącicki dał mi odpowiednie instrukcje, jak mam dalej postępować i co ewentualnie mówić. Ktoś powiedział, że zwolnią tych fachowców z obozu i będą pracować jako cywile. W tej sytuacji za wszelką cenę chciałem wydostać się z obozu. Na porannym apelu ogłoszono, aby ci, których numery zapisano, ustawili się oddzielnie. Wystąpiło około 20 chłopów, reszta poszła do pracy. Zaprowadzono nas do Politischesabteilung. Kolejno wchodzimy do baraku, ja staram się być w środku grupy, p. Świącicki za mną. Moja kolejka, wchodzę. Przy stole kilku SS-manów, pytają, gdzie i przy czym pracowałem, odpowiadam: PZO W-wa jako uczeń - optyk, bo tak mnie pouczył Świącicki. Gut. Wychodzę innymi drzwiami niż wszyscy, którzy tam weszli. Czekamy, aż wszystkich załatwią, kogoś biją, być może nie spodobał się lub okłamał. Wreszcie załatwionych prowadzą do baraku, aby myć podłogę, równać łóżka, zamiatać. Do obozu wchodzi grupy śmiertelnie zmęczonych ludzi, pytają, co z nami, ale my nic nie wiemy. Wielu chce dołączyć do naszej grupy, zgłaszają różne zawody, ale nikogo już nie przyjmują. Spać. Rano na apelu specgrupa staje oddzielnie. Po wypiciu lury więźniowie udają się do pracy, my zostajemy w obozie. Przywożą chleb i kawę. Po bochenku na człowieka i bańka kawy na dwudziestu. Marszerujemy, ale gdzie, wiadomo tylko, że transport. Chleb zjedzony prawie natychmiast, chociaż wyznaczony był na 3 dni. Przychodzimy na stację, dobra nasza, może jednak prawda z tą wolnością. Jedziemy, ale nikt nie wie dokąd. W wagonie, tym razem osobowym, każdy ma miejsce siedzące. Jadę razem z p. Janem Świącickim, Stefanem - pisarzem obozowym, który nie najgorzej jest zaopatrzony w papierosy, Eligiuszem Grodzkim, Romanem Górko i innymi, razem dziesięciu w przedziale, komfort. Parzymy sobie wargi petami, które łaskawie oddaje nam Stefan. Kim był i jak się nazywał, nie wiemy do dziś, możliwy chłop, chociaż później okazało się, że nie zna nas po przybyciu na miejsce. Jazda trwała 4 dni, głód niesamowity, ale wreszcie dojeżdżamy - Gross-Rosen. Jednak obóz. Wizja wolności prysła jak bańka mydlana. W obozie nikt nie może za darmo jeść, więc do kamieniołomów, nikt tu nie zwraca uwagi na specgrupę, która praktycznie już nie istnieje; została rozdzielona po wszystkich komandach. Szczęśliwie trzymamy się razem z kolegami. Śmiertelność wzrasta, tempo pracy mordercze. Spotykam w niedzielę na meczu, tak, owszem, na meczu, Janka Supczyńskiego, syna kolegi

mojego ojca, pracuje u Siemens, więc powodzi mu się lepiej, ale to żadna pociecha dla mnie. Współczujemy sobie wzajemnie, ale więcej już się nie spotkaliśmy. Praca w kamieniołomach ponad siły, zlamiałem się całkowicie i byłem prawie mużułmanem, ale Eligiusz Roman i p. Jan, jak mogli, tak mnie pocieszali i starali się, abym całkiem nie zmuzułmaniał, co stanowiło groźbę utraty życia. Po kilku tygodniach pracy ponad siły znów zwożują specgrupe. Chleb i kawa na drogę i odjazd w nieznane. Wieść niesie, że jedziemy tym razem do Jeny. Oby! Na małej stacyjce w Gross-Rosen czeka już kilka wagonów, tym razem towarowych, ale wszystko jedno, aby jak najdalej od piekła Gross-Rosen. Teraz już nie pamiętam, jak długo jechaliliśmy. Na stacji docelowej napis GABLONZ nic nam nie mówi, nie wiemy, w jakiej części Europy leży to miasto. W czasie przemarszu Gablonz okazuje się uroczym miastem, o ile można w naszej sytuacji patrzeć oczami turysty. Dochodzimy do jakiejś fabryki, oczywiście z kominem, ale od razu widać, że to nie krematorium. Prowadzą nas do dużego baraku na terenie zakładu i, o dziwo, stoły zastawione miskami. Każą siadać i prawie natychmiast wnoszą zupę, kartofle obierane, nie jak dotychczas w łupinach. Brukiew, marchew i inne jarzyny w tej zupie, ale bardzo smaczna. Zjadamy błyskawicznie i oczom nie wierzymy – drugie danie. Kartofle w mundurkach i sos jakby pomidorowy, o Boże! królewskie jedzenie, a może to prawda o tej wolności. Wprost niemożliwe, aby w obozie dawali dwa dania. Powstań! Wchodzi grupa wojskowych i cywilów. Zabiera głos oficer SS, mówi, że jest komendantem obozu, cywile zaś dyrekcją fabryki Gestapo itp., więc jednak nie wolność. Jakiś cywil mówi, że będziemy pracować w tym zakładzie. Wszyscy otrzymują pracę w/g specjalności, musimy dobrze pracować i szybko, jutro każdy dostanie przydział. Rano śniadanie przy stołach, dzielą grupę na dwie zmiany. Jedna do pracy, druga ma posprzątać barak do połyku i spać. Jestem więc w drugiej zmianie, po wyszorowaniu baraku rzeczywiście każą iść spać. Co za rozkosz, żołądek napełniony i 8 godzin snu przed nami. Kładziemy się z Halkiem, Romanem i Tadeuszem Herzogiem obok siebie, trochę rozmawiamy, jednak sen jest silniejszy, usypiamy. Wstajemy o godz. 5⁰⁰, apel, śniadanie i wymarsz do pracy. Idziemy jako druga zmiana. Do fabryki około 450 m. Trasa nasza ogrodzona drutami kolczastymi i eskorta SS. Na hali ciepło i widno. Otrzymuję przydział na rewolwerówkę. Maszyna z wyglądu dość przyjemna. Z suportu wystają jakieś noże, wiertła itp. Zanim rozpoczęliśmy pracę, koledzy odpowiednio mnie instruują, jak należy posługiwać się tą maszyną. Okazuje się, że to niezbyt skomplikowane i na ogół łatwe. Należy ściśle trzymać się wymiarów z rysunku, a reszta należy do ustawiacza. Ustawiaczem, jak się okazuje, jest dość młody Czech, z wyglądu sympatyczny facet, ale trzeba być ostrożnym, jeszcze nie wiadomo, kto to jest. Okazało się później, że jest nie tylko sympatyczny, ale całkiem równy. Ma do obsługi sześć maszyn, na których pracują: ja, Halek, Jasio spod Krakowa, który jest jednocześnie kapo naszej grupy, Tadek i dwóch Rosjan, Andriej i Kola. Toczmy i borujemy jakieś części, których przeznaczenia nie znamy na razie. Po przejrzaniu wszystkich rysunków okazało się, że są to części do pistoletów maszynowych. Po naradzie z kolegami dochodzimy do wniosku, że jeśli robimy pistolety maszynowe, powinniśmy więc mieć co najmniej dwie sztuki. Po kilku dniach mamy kompletne mechanizmy, ale brakuje obudowy. Wiadomo, Polacy nie zniechęcają się zbyt szybko. Okazało się, że na ten sam pomysł wpadli również jeńcy radzieccy, którzy z nami pracowali. Po nawiązaniu kontaktów z grupą radziecką przekonaliśmy się, że są lepiej zorganizowani od nas. Mieli już wyznaczonego dowódcę,



Żelazny Brod. Szpital Czerwonego Krzyża.
Po nabraniu sił więźniowie i siostry C.C.K. Haskova z córką
przed szpitalem. Maj 1945 roku.
Na zdjęciu są rozpoznani: Eligiusz Grodzki, Karol Gibert,
Tadeusz Hercog, Zenon Karpiński, Zdzisław Makowski,
Zdzisław Zieliński, Bernard Łaskowski

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.1.34.



którym był oficer Armii Radzieckiej, lejtenant Kozłow, ale o tym dowiedziałem się znacznie później. Tak więc było już kilka pistoletów, ale ani jednej sztuki amunicji. Broń była bardzo dobrze schowana w schowku w suficie, gdzie nikt by się nie domyślił, że można tam cokolwiek przechować. Tymczasem wydarzyła się w baraku bardzo groźna sprawa. Jeden z kolegów, powstaniec ze zgrupowania "Baszty", Kazimierz Jastrzębski, przechowywał czy też mu podrzucano łom, który znaleźli Niemcy. Wywleczono biedaka i nieludzko skatowano na oczach wszystkich przebywających w baraku. Tak to nas poruszyło, że postanowiono pomiędzy zaufanymi kolegami jakoś się zorganizować. Oczywiście żadnego wpływu na bestialstwo Niemców nie mogliśmy mieć; jakiegokolwiek przeciwstawienie się rozkazom było pewną śmiercią. Stworzono więc ściśle zakonspirowane grupki do małych sabotaży na terenie fabryki; zółwie tempo pracy, umyślnie niszczenie narzędzi, a zwłaszcza drogich frezów, jak również wadliwie wykonywanie detali.

Pewnego dnia przyszła do nas w transporcie pieszym grupa więźniów z Oświęcimia. Z grupy tej wytypowano kapów oraz blockälteste-ra Niemca, kryminalistę i homoseksualistę. Ponieważ kapo byli do tej pory więźniowie - koledzy, nie było więc drastycznych przypadków bicia współtowarzyszy, a jeśli były, to najwyżej dla pozorów, o co zresztą pobity nie miał żalu, gdyż była taka umowa. Lepiej było dostać od kolegi w mordę za jakieś tam naruszenie przepisów, ale tylko w obecności SS-mana, niż być przez niego zapisanym i po apelu zgłosić się na dupobicie, a w tym przypadku żartów już nie było. Taki delikwent przez dwa tygodnie nie usiadł na tyłku, mógł tylko leżeć na brzuchu. Nowy blockältester oczywiście wprowadził z miejsca nowe porządki. Sam mianował oberkapo, ten zaś z kolei swoich kumpli, którymi okazali się zwykle bandyci spod znaku "tryzuba", Ukraińcy - policjantem obozowym. Pferdnerem został jakiś garbus-konus, jak go nazywaliśmy, z Działdowa. Wracającym z nocnej zmiany otwierał drzwi i pewnego dnia tak był zajęty okładaniem kijem wchodzących, że zapomniał schować pajdkę chleba, którą zostawił na ławce, na której się zwykle wylegiwał. Halek, idący po lewej stronie piątki, złapał w locie pajdkę i zanim garbus się zorientował, już podzielił ją na trzy części, dając jedną mnie, drugą Romanowi. Błyskawicznie chleb powędrował do naszych żołądków. Tymczasem przy wejściu powstała awantura, ktoś ukradł chleb, co było najcięższym wykroczeniem. Ale szukaj, bracie, wiatru w polu, teraz możesz każdego pocałować w nos. Küchenkapo, który był bardzo uczulony na tego rodzaju kradzieże, a zwłaszcza, że skradziono funkcyjnemu, zarządził rewizję, wzywając wszelką swołocz obowomę do rewidowania. Naturalnie chleba nie znaleziono, a garbus dostał w mordę i kilka pył od Küchenkapo za to, że nie pilnował swojej dodatkowej porcji. Bardzo się z tego obrotu sprawy cieszyliśmy. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia 1945 roku, tęsknota za wolnością i domem zapukała mocniej do serc każdego z nas. Wiedzieliśmy, że nasza Warszawa zniszczona, ale czy najbliżsi jeszcze żyją? Żadnych paczek już nie było, zaledwie kilku je otrzymało, ale po zajęciu przez wojska radzieckie i polskie terenów, gdzie mieszkali, nie było żadnej możliwości aby dalej otrzymywać paczki. Najważniejsze jednak były listy, które w najbardziej przemyślany sposób informowały o postępach naszych wojsk, no i naturalnie dodawały otuchy. Aby tej otuchy dodać sobie i innym postanowiliśmy święta zorganizować w sposób przypominający Polskę i dom. W tym celu przeprowadzono rozmowy z grupą radziecką i ustalono, że Polacy w Wigilię coś zaśpiewają wspólnie z Rosjanami. Zaczęto czynić przygotowania. W fabryce próby odbywały się w

ubikacji, ale okazało się, że wspólny śpiew jest raczej niemożliwy i postanowiono, że Polacy zaśpiewają kolendę, a Rosjanie swoją pieśń narodową. Niech nikt nie myśli że próba śpiewu odbywała się na cały głos. Każdy śpiewak mruczał pod nosem "Cicha noc, święta noc", przy czym specjalna czujka ubezpieczała i uważnie obserwowała najbliższy teren, czy nie zbliża się osoba, która nie powinna wiedzieć o próbach. Nie można było również być zbyt długo nieobecny przy maszynie. Otrzymaliśmy tytoń, paczka na 4 ludzi, używaliśmy więc sobie na paleniu. Byli tacy, którzy woleli wymianę chleba na tytoń. Bardzo nas martwiło takie postępowanie. Zamiany nie mogliśmy zabronić, ale karygodne było oddawanie chleba, jedynego podstawowego środka najbardziej wartościowego odżywczo, za tytoń. Staraliśmy się kolegom namiętnym palaczom to wytłumaczyć, ale z różnymi skutkami. Ja, Halek, Roman i Tadzio też część tytoniu wymieniliśmy, ale na "sałatkę" z czerwonych buraków. Chleba nie chcieliśmy kupować, aby nie pozbawić kolegów ich przydziału. Halkowi wydarzył się wypadek. Siedząc wieczorem na łózkach zajadaliśmy brukiew, krojąc ją nożykami własnej produkcji. Właśnie przekroiłem pół brukwi, kawałek podawałem Halkowi i nie wiem, czy zrobiłem to tak niezręcznie, czy też on źle ją przyjął, ale skałeczył się moim nożem w zewnętrzną część dłoni obok trzeciego palca. Skałeczenie było błache, ale okazało się bardzo groźne w skutkach. Rano ręka spuchła jak bania, nie mógł pracować. Z każdym dniem było gorzej. W końcu namówiłem go, aby udał się do sanitariusza, którym był Adam Grząski. Otrzymał zwolnienie na kilka dni. Został więc w baraku, a mnie bardzo go brakowało w fabryce, ponieważ był moim najlepszym przyjacielem. Tymczasem mijał czas, front zbliżał się do naszego obozu, a nie wiedzieliśmy, co z nami będzie. Spadły duże śniegi i był srogi mróz. Obawialiśmy się ewakuacji. Zarządzono odwszawianie, które polegało na tym, że trzeba było rozebrać się do naga i poddać się kontroli. Siadało kilku łachudrów, którzy za miszkę dodatkowej zupy szukali u kolegów wszy. Küchenkapo w obecności "pięćdwadzieścia", SS-mana, Słazaka, który mówił po polsku, lecz przekręcał wyrazy zamiast dwadzieścia pięć wymawiał jak przytoczyłem. Oznaczało to 25 batów na tyłek, co było u niego najmniejszym wymiarem kary. Był podoficerem SS i miał sztywną nogę w kolanie, nie nadawał się na front, był więc u nas zastępcą komendanta lagru. Küchenkapo ogłosił, że kto ma wszy, niech się zgłosi, a za każde 5 sztuk otrzyma papierosa. Zgłosiło się kilku i, o dziwo, otrzymali papierosy. To podziało na innych i były wypadki, że pożyczano sobie wszy. Küchenkapo ze stoickim spokojem obdzielił jeszcze kilku papierosami, ale kazał schreiberowi zapisać ich numery. Zgłosił się z weszami również Heniek Uchman. Zebrała się spora gromadka szczęśliwych palaczy, a Küchenkapo czekał, aż zbierze się ich więcej. Kiedy uznał, że więcej nikt się nie zgłosi, a było ich około 50, ponownie wezwał wszystkich do ustawienia się w szeregu i wygłosił mowę. Stwierdził, że są brudne świny, że ich zgnoi do ostatniego i rychło słowa wprowadził w czyn. Żabka, czołganie się po betonowej podłodze, bicie, lanie wodą, dał taki wycisk, że krew tryskała kolegom spod paznokci i woda się w tyłkach gotowała, my zaś patrzyliśmy i truchleliśmy ze zgrozy, co z nimi wyrabiają. Następnie wszystkich zabrano do łazienki i tam dano im lodowaty prysznic. Szczęśliwie nikogo nie zabito i tak zakończyła się zabawa w papierosy za wszy. Wszy miał każdy z nas, choć oficjalnie było to zabronione, ale co można było zrobić, kiedy roje chodziły w łózkach, bieliźnie i ubraniach. Nie było środków piorących

ani dezynfekujących i każdy, chciał czy nie, musiał je mieć. Niemcy o tym doskonale wiedzieli, ale nic nie robili. Obowiązkowo raz w tygodniu wszyscy musieli zabijać wszy, a było to tak, że siadano pod oknem, a w szwach bielizny i ubrania wyszukiwano robactwo. Następnie należało się zgłosić do kontrolera, podać swój numer oraz poddać się kontroli. Specjalny kapo miał lampkę w ręku i szukał w bieliźnie. Naturalnie, że nigdy nie wyłapano do ostatniej sztuki, natomiast "specjalista" natychmiast przy dobrym oświetleniu znajdował kilkanaście sztuk, po czym obok numeru więźnia podawał ilość wszy i oddawał kartkę lagerältesterowi. Ten zaś po apelu w obecności "pięćdwadzieścia" wymierzał karę. Kara znów była taka, że za każdą znalezioną sztukę wymierzano 2 uderzenia bykowcem. Między innymi specami od wszy był niejaki Dzikowski z Warszawy, podszedłem do niego mając nadzieję, że nie zapisze mego numeru, jednak on, chcąc dostać zupe, zapisał. Przypadkowo wyszedł Küchenkapo i odebrał od niego kartkę. Natychmiast wszystkich zapisanych przywołał do siebie i dał nam takie przeszkolenie, gdyby nie odwołano go w pilnej sprawie, nie wiadomo, jak by się to skończyło. Na tyłku nie mogłem usiąść przez kilka dni, a w pracy nie mogłem się poruszać, na co zwrócił uwagę majster Czech. Gdy mu powiedziałem, jaki jest powód, dał mi dwa papierosy i później od czasu do czasu podrzucał mi na maszynę kartofle, marchew lub buraki. Kiedy chłopaki zobaczyli papierosy, każdy chciał się zaciągnąć. Na hali nie wolno było palić, więc każdy z nich dym wypuszczał do rękawa. Jednak zauważył to esesman i choć nie przyznawaliśmy się do palenia, wezwał Jasia Kapo i osobiście wymierzył mu 25 bykowców za to, że będąc kapo, pozwala palić. Janek miał do nas trochę pretensji, ale że i sam również palił, jakoś to przebolewał, a my musieliśmy zajmować się leczeniem jego dupy, jak było u nas w zwyczaju, jeśli któryś dostał "5-20". Trzeba przyznać, że solidarność tu była wyjątkowa ze względu na to, że każdy o każdej porze mógł otrzymać porcję batów.

W komendanturze obozu zaszły zmiany. Został mianowany nowy lagerführer, oficer SS. Na apeżu zapowiedział, że wzmocni dyscyplinę i nie będzie tolerował żadnego jej naruszenia. Po kilku dniach nadarzyła mu się okazja. Hauskapo miał na palcu pierścioneł, który został wykonany w fabryce z mosiądzu i zabrany jednemu z więźniów. Blokowy zabrał go koledze i paradował z nim, nie kryjąc się. Zauważył to nowy komendant, wezwał esesmana, zbeształ go, a blokowemu rozkazał wymierzyć 25 "am Arsch". Kazano mu się położyć na stole i przy wszystkich otrzymał swoją porcję, a nam kazano liczyć: ein, zwei, drei - fünfundzwanzig. Blokowy się wściekał, ale nic nie mógł na to poradzić. Może mnie się tylko wydawało, ale jakby stał się potem nieco lepszy. Już za byle co nie kazał odliczać 25.

Święta już blisko. Jeden z radzieckich kolegów w wolnych chwilach, których zresztą nie było wiele, malował na ścianie baraku różne obrazy rodzajowe oraz kwiaty, które przechowały się do dnia dzisiejszego, jak również oryginalne druty kolczaste, którymi były zakratowane okna baraku. Przywieszono choinkę i ustawiono ją nie w środku baraku, lecz przy ścianie. Ubrano ją marchwią, brukwią, pajdkami chleba, jakimiś łańcuchami wykonanymi z papieru, zresztą nie wolno było do choinki podchodzić ze względów zasadniczych, a to z uwagi na wiszące na niej specjały, które, co to ukrywać, mogły zniknąć w żołądkach głodnych więźniów. Wigilia. Po pracy na obiad, a raczej kolację z obiadem podano zupe a`la Gablonz oraz kartofle w mundurkach z sałatką z czerwonych buraków.

Ponieważ jak wspominałem o tej sławnej sałatce, należy wyjaśnić bliżej, co to było za dziw. Otóż były to gotowane czerwone buraki i drobno krajane w sosie własnym. Serwowano więc "sałatkę" w dniach

bardziej uroczystych. Może była i niezła, ale po zjedzeniu tego dania zaczęto chorować na czerwonkę. Była to tragedia: do WC ustawiała się kolejka, oczekujący ponaglali załatwiających się do pośpiechu, a tamci wyrywali kiszki, zresztą jak wszyscy. Lekarstw żadnych, a jeść się chce jak wszyscy diabli, więc nikt nie zważa już na nic i kiedy jest sałatka, wszyscy ją jedzą. Były nawet śmiertelne wypadki. Zmarł również nasz znajomy, jego nazwiska już nie pamiętam, z Warszawy, miał zakład fotograficzny na ul. Wileńskiej. W obozie był kalendarzem, bowiem do jego obowiązku należało pamiętać dokładnie, jaki jest dzień, np. 11 grudnia, środa 1944 r. Tak do niego przyłgnęła nazwa "kalendarz", że zapomniano jego nazwisko i z tego też powodu i ja nie pamiętam. Zmarłych chowano na górze za barakiem, obok wykopu, w głębi którego była jakaś pusta sztolnia, służąca również za schron przeciwlotniczy. Chodziły słuchy, że Niemcy w wypadku nadejścia wojsk radzieckich mają nas tam zagazować. Że była to prawda, przekonałem się naocznie, będąc tam już po wojnie z żoną i dziećmi. Spotkałem wtedy Władka Gadzińskiego, który aktualnie jest komendantem straży przemysłowej w Liaz, jak obecnie nazywa się ta fabryka. Ponieważ byłem pierwszym, który po wojnie odwiedził były obóz Jablonz, otrzymałem od dyrekcji fabryki na pamiątkę litografię przedstawiającą "nasz obóz i fabrykę", ale niestety wg stanu obecnego. Wprawdzie jest uwidoczniony barak tego "naszego obozu", jednak jest już inaczej. Na litografii, którą oprawiono dla mnie w ramkę i za szkłem, napisano bardzo przyjemną dedykację: "Panu Zdzisławu Makowskiemu z Warszawy w upominku w byłym koncentracjnym tabore Gross Rosen pobocka w Rynovicich venuje ZV ROCH NP LIAZ - JABLONEC CSR". Jest to piękna pamiątka, tym bardziej że wiąże się z nią zabawna historia na granicy w Jakuszycach. Wracających do Polski z drobnymi zakupami z CRS, gdy przekroczyliśmy szlaban, poproszono nas, aby udać się do komory celnej z bagażem i do kontroli osobistej. Kiedy nasza czwórka stawiała się z walizkami i innymi paczkami, a ja na dodatek z obrazem, celniczki czeskie wybuchnęły gromkim śmiechem na mój widok. Zapytały, czy ja to kupiłem? - Nie - wyjaśniłem - otrzymałem w upominku. - Kiedy przeczytały dedykację, z honorami odprowadziły nas do samochodu, niczego nie szukając w naszych walizkach. Okazało się, że szukały butów dzieciennych, których nie wolno wywozić z CRS. Tak więc obraz ten wyratował nas z opresji, ponieważ mieliśmy kilka par butów dla dzieci. Innym wszystkie buty zatrzymano.

Ale powracam do Wigilii. Po wygłoszeniu przez lagerführera okolicznościowego przemówienia w rodzaju "Victoria! Niemcy zwyciężają na wszystkich frontach", ktoś zapytał, czy można zaśpiewać kolędę. Zezwolili, wtedy wystąpili "śpiewacy" i nawet ładnie zaśpiewali "Heilige Nacht". Widać było, że kolęda podobała się lagerführerowi. Natomiast "pięćdziesięcia", już dobrze podpity miał bardzo głupi wyraz twarzy; może też myślami był przy żonie i dzieciach, a może poczuł, że jest również człowiekiem, bo podobno każde bydlę w tym dniu też się raduje z narodzenia Pana, więc być może jego bydlęce serce w ludzkim ciele w tym dniu zaskowyczało. Faktem jest, że zapytał, a nie rozkazał, czy znamy jeszcze jakieś kolędy. Znamy, naturalnie, ale po polsku. Los, po polsku - zezwolił. Był to nasz wielki sukces, że tego bydlaka tak rozczuliliśmy śpiewaniem kolęd po polsku, co było rzeczą niewiarygodną, bo jak wiadomo językiem "urzędowym" był wyłącznie niemiecki. Naturalnie pomiędzy sobą mówiliśmy po polsku, ale zdarzały się wypadki, że należało kogoś nieznajomego zapytać o coś, a wtedy to już tylko po niemiecku. Przez całe święta pracowaliśmy, ale tempo

pracy było tak małe, że prawie nic nie wykonano, tyle tylko, aby starczyło do zamydlenia oczu. Po świętach jednak ostro pogoniono nas do pracy, być może statystyka wykazała duży spadek produkcji.

Minęły święta, dni i tygodnie ciągnęły się szaro i beznadziejnie aż nareszcie pod koniec stycznia 1945 r. gruchnęła wiadomość, że Warszawa została zdobyta. Od tego pamiętnego dnia wiadomości przychodziły coraz bardziej radosne. Nie było prawie dnia, aby nie powtarzano, że front toczy się jak lawina i wyzwolone zostały nowe miasta Polski. Jak grom z jasnego nieba przyszła wiadomość, że Wrocław, a więc bardzo blisko oblężony, a wśród oblegających Wojsko Polskie. Co za radość! SS-mani, stare dziady kuternogi, nagle zaczęli zbliżać się do więźniów i, nazwałbym to, zabiegać o ich względy. To nam dawało wiele do myślenia, nocami rozważaliśmy, co dalej będzie i co z tego wyniknie. Dotarła również do nas wiadomość, że lagerführer rozkazał załozce wzmocnić czujność i zaostrzyć kurs wobec heftlingów. Nadszedł luty, wzmogły się mrozy i spadł okrutny śnieg. "Pięćdwadzieścia", kiedy tylko miał trochę czasu a był podпиты, kazał wychodzić z baraku, ustawiał nas jak do apelu i kazał śpiewać. Ponieważ najlepiej mu się podobała aria z "Halki", a może raczej złośliwie, kazał śpiewać "Góralu, czy ci nie żal" śpiewaliśmy, ale właśnie wtedy myślami byliśmy w stronach ojczystych.

Druga zmiana nie idzie do pracy, co się stało? Rano wzmocnione posterunki SS, wychodzimy poza fabrykę, czyżby transport? Tak, prowadzą nas na dworzec kolejowy, ale tu sprawa natychmiast się wyjaśnia. Rozdają szpadle i kilofy. Komendę obejmują niemieccy kolejjarze. Kto dobrze mówi po niemiecku, wystąp. Występuję i jeszcze kilku. Kolejarz wręcza mi chorągiewkę i trąbkę oraz tłumaczy, że będę stał obok posterunku SS-mana i zadaniem moim będzie ostrzegać pracujących na torach o nadjeżdżającym pociągu. Idę więc z SS-manem, starym prykiem prawdopodobnie z volkszturmu, na oddalony posterunek. Odwilż tego dnia i pada drobny deszcz. Z daleka widzę, że koledzy stoją na torach ale jakoś nie kwapią się do roboty. Tak przestaliśmy 10 godzin. SS-man pyta, czy mam zapaliki. Ależ skąd, przecież to zabronione. Przypala papierosa, miał więc zapaliki, wypala do połowy i wyraźnie widzę, że się uważnie rozgląda. Nic podejrzanego nie zauważył, zawołał mnie do siebie i dał połówkę papierosa. Zastanowiłem się: prowokacja czy chęć nawiązania rozmowy. Okazało się to drugie. Zaczyna mówić, że wojna trwa już za długo, nie pamięta, kiedy był w domu. Miał troje dzieci - dwie córki i syna. Syn zginął w Jugosławii, a córki służą w pomocniczych formacjach wermachtu. Bardzo chciałby je zobaczyć. Pyta, z jakiego powodu jestem w obozie. Skłamałem, że zostałem złapany na ulicy w Warszawie. Wyraził zdziwienie, twierdząc, że z tego powodu nie osadza się w Rzeszy w obozach. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, ale na szczęście ndjechał pociąg, zacząłem więc nadawać umówione sygnały. Na tablicy pociągu osobowego był napis: Reichenbach-Mirsberg. Po przejściu pociągu SS-man zupełnie niespodziewanie zapytał, czy może liczyć, jeśli sytuacja się zmieni, że zaświadczę, że on nikogo nie bił ani też nie zabił. Do Gablonz trafił ze szpitala i nie chce mieć nic wspólnego z pozostałymi SS-manami. Oświadczyłem, że naturalnie, jeśli będzie trzeba, to nawet jestem gotów przysiąc, że on jest bardzo dobry. Prawdę mówiąc, nie widziałem go "w akcji na rzecz więźniów". Pomyślałem tylko: bracie, tu chcesz być aniołkiem, a jeśli nadarzy się okazja, zastrzelisz każdego z nas z zimną krwią i nie będziesz robił sobie wyrzutów z tego tytułu. Sytuacja stała się bardzo niezręczna, myślałem tylko, jakby się od niego oddalić, aby nie słuchać i nie rozmawiać, jednocześnie zdając



Punkt zborny Czerwonego Krzyża - pierwsze kontakty z ludnością Tanwaldu

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.1.41.



Grupa więźniów oswobodzona w Tanwaldzie wkracza do Żelaznego Brodu. Na zdjęciu rozpoznany Antoni Małetka z Warszawy

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.1.4.

sobie sprawę z tego, że sytuacja Niemców musi być bardzo zła, kiedy SS-man szuka protekcji u zwykłego więźnia. Nikomu nawet o tym nie wspomniałem bojąc się, że ta rozmowa może się wydać i jeśli nie on osobiście mnie zastrzelił, to wskaże koledze i kaput. Wracamy do obozu, przechodzimy obok piekarni i wchłaniamy z rozkoszą zapach chleba. "Pięćdwadzieścia" podaje komendę: śpiewać! Śpiewamy.

Wir sind Arbeiter von Lager Rejnovitz,

Darum rann alle Mann

Unsere Her-zen fliegen sendern lacht

Unser Arbeit hat es gut gemacht

Tra la la, tra lalla la la.

"Pięćdwadzieścia" który miał w piekarni znajome kobiety, w ten sposób dawał znak, że nadchodzi, a one wyglądały przez okna i śmiały się rzucając wulgarne i sprośne słowa, czyniąc przy tym różne gesty. Kim one były, nie wiem, przypuszczam, że ..., ale mniejsza o to, nie warto się nimi zajmować. W baraku pierwsza zmiana informuje nas, że w fabryce nie ma materiału, więc dwie zmiany są niepotrzebne, bo i tak oni mają przestoje. Zamiast pracować na maszynach sprzątają halę fabryczną, czyszczą maszyny i ze złomu wyszukują co lepsze materiały, zwłaszcza kolorowe. A więc Trzecia Ręka goni już resztkami sił, dobra nasza.

Następnego dnia idziemy znów na brandel - tak nazwano nasze komando. Chłopcy pracują jak żółwie. Przez cały dzień podbili za ledwie kilka podkładów. Na szczęście mój rozmówca stoi na innym posterunku. Jego zastępca nie mówi ani słowa, patrzy wilkiem, więc mam się na baczność. Nic szczególnego się nie wydarzyło tego dnia, wracamy. W obozie zastajemy nowe porządki i jakieś nowe twarze, wypasieni osobnicy, dobrze ubrani. Okazało się, że zostali ekstra sprowadzeni z Gross-Rosen na kapów. Blokowym teraz jest Saszko, a jego pomocnikiem Jaszka - Ukraińcy. Po baraku chodzą z tęgimi kijami i okładają na prawo i lewo, kto nawinie się pod rękę. Pod ścianą też siedzi kilku zbójów. Żle.

Rano do każdej grupy zostaje przydzielony nowy kapo. Na brandlu kto tylko na chwilę ustanie w pracy, dostaje tęgie lanie, znów mordercze tempo. Ale po to właśnie sprowadzili morderców. Kapowie uwijają się jak w ukropie, walą, aż wióry lecą, i widać, że nie ma żartów. Jeden kapo podeszedł do mnie. Stałem tyłem, więc nie widziałem ani nawet nie usłyszałem, jak się zbliżył, a że dość szybko się nie zameldowałem, dostałem w ryja i przy tej okazji złamał mi nos. Zaraz założyłem się krwią i długo jej nie mogłem zatamować, przykładając kompresy z zimnej wody, którą czerpałem z rowów obok torów. W ten sposób płynęły dni. W lutym, szykując się do wyjścia rano do pracy, ujrzelśmy ustawiony karabin maszynowy w drzwiach, z załogą z pełnym ekwipunkiem. Kapowie ustawiają nas w szeregu a kuchenkapo z pomocnikami wydaje chleb, aż po bochenku na głowę. Więc znów zmiana miejsca. Jednak to, co się okazało, było znacznie gorsze niż transport. To była ewakuacja obozu. Przygotowano fury, które sami mamy ciągnąć. Na razie jednak czekamy i tak mija dzień, bez jedzenia. Niektórzy zaczynają zjadać chleb, choć jest przeznaczony na drogę nie wiadomo jak daleką i jak długą. Pomimo że wiemy, iż chleba nam nie wolno zjadać, że jest taki rozkaz, zjadamy po prostu dlatego, że chce się jeść. My z naszej paczki również zjadamy po kawałku, resztę chowając na drogę. Nocujemy jednak w baraku. Rano kuchenkapo lata jak opętany - chleb do zwrotu. Łykamy więc duże kęsy, ile tylko możliwe, ale około połowy trzeba zwrócić, bardzo tego żałujemy, ale kto to mógł wiedzieć.. Rano bez jedzenia idziemy znów do pracy. W południe przywieziono zupełną na stację, godzina przerwy. Zjadamy nieco

się rozgrzewając i znów do roboty, podbijać podkłady. Tak w wielkim skrócie przetrwaliśmy do maja.

Jak dziś pamiętam 8.V.1945 r. Wydano nam chleb, tytoń i kawę. Maszerujemy w nieznanym kierunku. Dochodzimy do Tanenwaldu. Tanenwald. Kolumna halt! podchodzą jacyś uzbrojeni cywile, eskorta SS oddaje broń i pod eskortą cywilów gdzieś odchodzi. Ktoś krzyczy: Wojna skończona! Jesteście wolni!" Boże, co to za radość, jeszcze dziś, kiedy wspomnę ten dzień, mimo woli łzy same spływają mi z oczu. Pękają szeregi, wszyscy się całują i leją łzy radości, że chociaż nie wszyscy, ale doczekaliśmy wolności. Partyzanci czescy, bo byli to oni, kierują nas do Żelaznego Brodu. Najbardziej chorzy i słabi zostają w Tanenwaldzie, gdzie umieszczono ich w szpitalu. Kobiety wynoszą jedzenie, pochłaniamy je w mig i całujemy każdą napotkaną osobę, ciesząc się z odzyskanej wolności. Každy na swoją rękę stara się o jedzenie, a było tego dużo, ludzie nam nie żalowali, papierosy, cygara, tytoń, pał, ile dusza zapragnie. Ja i Halek zostajemy zaproszeni do jakiejś kobiety, która chciała nas poczęstować "polewką", czyli zupą, ale wpierv przeznornie zapytała nas, czy nie jesteśmy chorzy na tyfus. Ależ nie, babiczko. Dobrze, że nie zapytała o wszy, a może o tym nie wiedziała. Okazało się, że oprócz zupy był koniak i kiełbasa, wspomniała może dlatego, że pierwsza na wolności. Najedliśmy się strasznie, podziękowaliśmy i do miasta. Przy każdej bramie kobiety z dzbanami kawy, herbaty i innymi specjałami, dusza by jadła, ale już nie możemy. Tymczasem strasznie rozboleły nas brzuchy, jęczymy z bólu i wijemy się na trawniku. Zbiegowisko ludzi, a my wyglądamy jak małpy w naszych pasiakach i z wygolonymi strajfami na głowach. Jedni litują się nad nami, inni płaczą na nasz widok, co też z nami Niemcy zrobili, wszyscy myślą, że jesteśmy tak chorzy, że nie możemy się ruszyć. Wszelkie próby porozumienia z nami są niemożliwe; po pierwsze nie znamy języka czeskiego, po drugie naprawdę nie byliśmy w stanie cokolwiek powiedzieć. Przyszedł jakiś partyzant w kombinezonie i czerwoną opaskę na rękawie, który zainteresował się nami. Zrozumiałem, że pyta, czy dużo jedliśmy, kiwnąłem głową, coś powiedział do ludzi i kilku gdzieś pobiegło. Za chwilę zjawili się z noszami i zabrali leżących do punktu być może sanitarnego. Tu zrobiono nam zastrzyki i na siłę wepchnięto rurę gumową w usta aż do żołądka. Lekarz nas skrzyczał, że tak dużo jedliśmy i że to mogło się stać przyczyną nawet naszej śmierci, bo żołądki po długim okresie głodu nie zniosły nagle takiego obciążenia. Zabrano nas samochodem do Żelaznego Brodu i umieszczono w szpitalu. Dopiero teraz rozchorowałem się na dobre. Stan mojego serca był bardzo poważny, dostałem dużo krwi, tak że śmiało moge powiedzieć, że płynie we mnie czeska krew, może z tej przyczyny tak bardzo lubię Czechów. Gdzieś w połowie czerwca postanowiłem wracać do Polski, dość dobrze postawiony na nogi przez lekarzy. Ponieważ Halek Grodzki i Tadek Herzog byli tego samego zdania, poprosiliśmy o zwolnienie ze szpitala i w drogę do Polski. Dwa dni jechaliśmy przez Morawską Ostrawę do Katowic, gdzie dostaliśmy w PUR po 150 zł i bilet do Warszawy. Przyjechaliśmy na Dworzec Zachodni. Na Pragę pieszo alejami Jerozolimskimi. Płakaliśmy jak dzieci widząc, co zostało z naszej Stolicy. Tu muszę z całą stanowczością stwierdzić, że warszawiacy to kochany naród. Každy, kogo spotkaliśmy, troskliwie wypytywał, czy mamy co jeść i czy są pieniądze. Zanim doszliśmy do Wisły, uskładała się pewna sumka. Ludzie, widząc nas w pasiakach, pytali, czy nie widzieliśmy ich krewnych, rodziców lub dzieci. Na moście podszedł do nas mężczyzna i zaproponował, że postawi nam po kielichu. Nie mogliśmy od-

mówić, ale zamiast kielicha dostaliśmy po szklance od wody sodowej i na zakąskę po jajku na twardo. Bardzo równy facet, chciałbym go dziś spotkać, dużo opowiadał, jak Niemcy niszczyli Warszawę i jak zdołał przetrwać na Pradze.

Postanowiliśmy, że w pierwszej kolejności odwiedzimy rodziców Halka. Tadzio Herzog spieszył się do swojego domu, więc we dwóch poszliśmy na ul. Tarchomińską. Nie będę tu opisywał, ile łez wylano z radości, że Halek wrócił; każdy, kto wracał do swoich, aż nadto dobrze zna chwile powitania. Mieszkanie pełne sąsiadów, każdy się cieszy.

Następnie pojechaliśmy do mnie do Wawra i tu to samo. Są to chwile jedyne w życiu, kiedy wraca się do matki, która nie wiedziała czy jej syn jeszcze żyje. Wyglądałem jak dziad, a ważyłem 32 kg. Biedna matka robiła wszystko, aby mi stworzyć możliwość powrotu do zdrowia. Tak przesiedziałem w domu dwa miesiące.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.7.



13 maja 1945 roku. Żelazny Brod. Grupa oswobodzonych więźniów komando Gablonz na terenie szpitala Czerwonego Krzyża w towarzystwie miejscowego księdza.

Na zdjęciu rozpoznani: ksiądz Antoni Kowalski /pierwszy z lewej/, Zbigniew Mleczek, Tadeusz Zieliński. W środku ksiądz miejscowy, obok Stanisław Marciniak, Stanisław Borowiec - zakonnik

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.1.40.

Z ŻYCIA NA BLOKU W GABLONZ

Ranna pobudka około godz. 5-tej, przeważnie wspomagana przez sztubowych goniących pomiędzy pryczami z bykowcami rozpoczynała dzień na bloku. Do zaścielania pryczy używało się początkowo worków papierowych służących za przykrycie. Potem już tylko wciąganie pasiaków, wsunięcie stóp do drewniaków i bieg do umywalni, gdzie w tłoku nie zawsze można było dostać się do kranu z zimną wodą. Często jeszcze poranna gonitwa do latryny obozowej; byliśmy w większości chorzy na tęż zw. biegunkę obozową. Śniadanie składało się z gorzkiej ziołowej herbaty i pajdki chleba z kawałkiem margaryny. Zaraz po śniadaniu, przy stałej nagonce kapów obozowych, następował wymarsz do pracy. Początkowo pracowałem w fabryce przy obróbce różnych części metalowych, aluminiowych lub bakelitowych na frezarce. Praca trwała od godz. 6⁰⁰ do wieczora. Południowy posiłek, wydawany przy stanowiskach pracy, składał się z miski wodnistej zupy z zielska i brukwi. Przy pracy nieustannie doglądali nas i poganiali majstrowie Niemcy i kapowie obozowi. Ci ostatni byli zainteresowani w wysokim wyrobieniu przez nas obowiązującej normy i nierzadko do maksymalnego wysiłku zachęcali nas bykowcami.

Po pracy następował powrót na blok, którym była duża nieukończona hala fabryczna, nie uszczelniona, w stanie surowym nieotynkowana. Na bloku zaraz przystępowano do odwszenia, co trwało nieraz 2 - 3 godziny. Wyglądało to taki: Więźniowie ściągali pasiaki i bieliznę i wyszukiwali w nich wszy. Znalezione zabijali w palcach. Byliśmy bardzo zawszeni, zarówno z uwagi na brak przez cały okres pobytu zmiany bielizny, jak i braku możliwości przeprania tej bielizny. Przez cały czas mojego pobytu na komandzie Gablonz tylko raz zarządzono pranie bielizny w zimnej wodzie; później ona schła w przewiewnej hali kilka dni, a my chodziliśmy do pracy w samych pasiakach. Po dokonaniu osobistego odwszenia stawaliśmy do kontroli pod lampami. Sztubowi sprawdzali czystość bielizny. Jeżeli któryś więzień poszedł z bielizną nie dość dokładnie oczyszczoną od robactwa, dostawał wypłatę w relacji jeden bykowiec na goły pośladek za jedną wszę.

W późniejszym czasie / od miesiąca kwietnia 1945 r. / pracowałem na komandzie "Brandl". Praca na Brandlu była bardzo ciężka, a dojście to marsz 4-5 km w jedną stronę. Pracowaliśmy przy wymianie torów kolejowych, co polegało na rozkręcaniu i przenoszeniu szyn kolejowych, zakładaniu nowych, skręcaniu ich oraz podbijaniu kamienia na nowo ułożonych podkładach. Ta kolejna moja praca też trwała do wieczora z przerwą na posiłek jak w fabryce. Nie muszę dodawać, że również nieustannie byliśmy szykanowani i poganiani przez vorarbeiterów i kapów.

Pewnego dnia na rannym apelu zostałem wybrany z 20-30 osobowej grupą młodych współwięźniów do pracy, jak się później okazało, na komandzie kobiecym. O ile sobie przypominam, było ono położone niedaleko naszego bloku. Komando kobiet, liczące może

około 50-80 więźniarek, przeważnie pochodzenia żydowskiego zatrudnione było przy ogrodach i zabudowaniach esesmańskich. Kobiety-więźniarki ubrane były w cywilne ubrania, oznakowane czerwoną farbą, jak to było w zwyczaju obozu macierzystego Gross-Rosen. Nas odkomenderowano dla znoszenia z wagonów przywiezionej brukwi. Praca na tym komando trwała kilka dni. Tamtejsze więźniarki w skrycie prowadzonej z nami rozmowie, nieustannie dopytywały się o koniec tej męki i czy damy radę przetrzymać. Dosłownie do dziś pamiętam, jak wymawiały pytając dwa słowa "wytrzymamy - przetrzymamy?".

Mając taką okazję, pracując przy dużej ilości brukwi, zaczęliśmy organizować przerzuty kawałków brukwi na blok macierzysty, dla poratowania głodujących kolegów.

Pewnego dnia na naszą grupę, powracający z tego komanda na blok, oczekiwał przy drzwiach Blockführer, jak mówiliśmy na niego, Ślązak, który mówił dość dobrze po polsku z akcentem śląskim. W otoczeniu sztabowych i kuchekapo dokonano u nas szczegółowej osobistej rewizji. Znalezione kawałki brukwi ułożono przed nami i każdemu policzono, ile miał kawałków. Kuchekapo wykrzykiwał, wskazując na nas ogółowi kolegów, że my jesteśmy złodziejami i ich okradamy. Całość obozu stała nieruchomo w milczeniu, wiadomo było z doświadczenia, że po takim przemówieniu, Kuchekapo obmyśli dla nas odpowiednią karę. Ja miałem 22 kawałki brukwi, które przyniosłem w nogawicach pasiaka. Zainkasowałem więc 22 uderzenia bykowcem na goły pośladek od dwóch dobrze nażartych sztabowych. Tak skończyła się moja jedyna organizacja dodatkowych racji żywnościowych, w postaci wspomnianych kawałków brukwi.

I Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.4.



Na górnej części budynku mieszkali więźniowie komanda Gablonz. Jedno okno zakratowane, a były wtedy zakratowane wszystkie. Zdjęcie wykonane w 1978 roku

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.1.13

PRZEŻYŁEM KOMANDO GABLONZ

Przekazany z obozu powstańczego w Pruszkowie w dniu 17 września 1944 roku do obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau jako więzień numer 196994, a następnie 22 września tegoż roku do kamieniołomów w Mauthausen. Tam zostałem więźniem numer 105802, skąd po 32 dniach ciężkiej pracy w tychże kamieniołomach zostałem przesłany w dniu 28 października do następnego obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, również na kamieniołomy.

Podczas pobytu w Gross-Rosen byłem więźniem numer 81474. Zostałem jako fachowiec skierowany do fabryki na komando Gablonz. Pierwsza grupa w ilości 500 więźniów dotarła do komanda Gablonz około 15.XI.1944 r. Fabryka wprawdzie istniała ale brak maszyn w niektórych specjalnościach zawodowych spowodował podział więźniów na kilka grup. Część fachowców jak tokarze, frezerzy przystąpili bodajże zaraz do pracy, część zaś czekała na maszyny które były w drodze. Praca w fabryce rozpoczynała się o 6 rano dla zmiany dziennej, a idąc do fabryki mijaliśmy zmianę nocną wracającą z fabryki do obozu.

Wyżywienie stanowiła zwykła czarna kawa na śniadanie, zaś na obiad, który był połączony z kolacją zupa z liści buraka pastewnego z kawałkami zepsutych zgniłych kartofli oraz pajdka chleba z niewielką kostką margaryny i łyżką marmelady buraczanej. Kiedy już całkowicie wyposażono fabrykę we wszystkie niezbędne maszyny i uruchomiono produkcję okazało się, że nie wszyscy fachowcy byli fachowcami, co powodowało ciągłe bicia i maltretowania więźniów na skutek nieumiejętności wykonania pracy. Ja pracowałem jako szlifierz precyzyjny z prawdziwego zdarzenia opiekując się dwoma innymi więźniami, którzy w ogóle maszyny widzieli w życiu po raz pierwszy i niepotrafili nic zrobić. Pomoc moja polegała na nauce i ustawieniu maszyny, która automatycznie pracowała sama. Ciągłe chodzenie i doradzanie stwarzało podejrzenie u kapów o zmyślanie się czy też unikanie pracy za co kilkakrotnie dostawałem kijem lub gumą po plecach czy głowie. W obronie mej stanął majster Niemiec, który widząc starannie wykonaną pracę polecił mi w dalszym ciągu opiekę nad pozostałymi dwoma więźniami uprzedzając kapów - że to jest konieczne i ja muszę tak chodzić, lecz w dalszym ciągu byłem pod ich stałymi szturchańcami już nie w fabryce ale na bloku. Pewnego dnia po wykonaniu bardzo dokładnych i nadzwyczaj pilnie potrzebnych części zostałem przez majstra wprowadzony do kontroli niemieckiej pomimo napisu na drzwiach, że psom i więźniom wejście wzbronione. Podczas kontrolowania mej pracy przez kontrolę niemiecką, która nie zauważyła, że za mną wszedł kapo, zostałem przez niego wyciągnięty z pokoju i dotkliwie pobity. Przy pomocy kolegów-współwięźniów byłem doprowadzony na blok i umieszczony w rewirze. Było tam 8 prycz piętrowych. Przebywali już wcześniej pobici lub chorzy na wodnicę i gruźlicę. Tych po kilku dniach usypiano zastrzykami dawanymi przez przejezdnego lekarza wojskowego. Będąc na rewirze byłem świadkiem, jak po 3 lub 4 minutach umierali

więźniowie przyprowadzani z gabinetu lekarza, po otrzymaniu śmiertelnego zastrzyku.

Ja zaprzyjaźniłem się z sanitariuszem Adamem Grząskim, który otoczył mnie swoją opieką robiąc mi po nocach opatrunki lekami wykradanymi lekarzowi. Jak się okazało później też nie był lekarzem a tylko felczerem i sanitariusz wiedział więcej od lekarza. Na rewirze tym przebywałem około 10 dni po czym ponowne starania majstra spowodowały, że wróciłem wynędzniały i chory do fabryki.

Pamiętam z rewiru Romana Omylskiego - pracownika Polskich Zakładów Optycznych w Warszawie, który zmarł na rewirze w pierwszych dniach grudnia 1944 roku. Przybył on do Gablonz transportem z Mauthausen wraz ze mną i miał numer zaczynający się na 814...?

Majster chcąc wynagrodzić mi zaistniałą z jego przyczyny chorobę i wzmocnić fizycznie kilkakrotnie dzielił się ze mną swym śniadaniem, wkładając mi je do szafki narzędziowej i niezależnie od tego za krzywdę jaka mnie spotkała otrzymałem na bloku przez okres 3 dni dodatkową miskę zupy. Tak doczekałem się świąt Bożego Narodzenia. Ustawiono na bloku choinkę ubraną kartoflami, marchewką, brukwią oraz skrawkami kiełbasy, którą zwykle jędali Niemcy i kapowie. W dzień wigilijny na blok wszedł Blockführer, Ślązak, mówiący po Polsku, rozkazał śpiewać najpierw marsza zaczynającego się od słów "Wir sind arbeiter von Lager Rajnowitz darum ran alle mann", a następnie kolędy Bóg się Rodzi, Cicha Noc i Wśród Nocnej Ciszy. Po bodajże godzinnym kolędowaniu polecił wydać więźniom papierosy, były to pudełeczka po 12 szt., następnie zezwolił palić na bloku przy stołach. Podczas tego palenia jedni płakali, drudzy wspominali swój dom, swych bliskich oraz kolację wigilijną na wolności, którą w gronie rodzinnym spożywali. W drugi dzień świąt a był to poniedziałek dokonano odkrycia wszy wśród więźniów, zawieszono na bloku olbrzymie lampy i kazano każdemu przeszukiwać odzież, szukać i tępić wszy. Gdy ten zabieg, a powtarzano go kilkakrotnie bez powodzenia, został rzekomo zakończony i miało już nie być wszy Blockführer zarządził kontrolne odwszawianie obiecując, że za każdą znalezioną wszę daje 1 papierosa. Wniesiono na blok skrzynkę papierosów, rozdano wszystkim próbówki na wszy, a kapów uzbrojono w kije i gumy aby przymusili wszystkich do kontrolnego szukania. Więźniowie, którzy zanieśli małe ilości najwyżej do 10 szt otrzymali papierosy, natomiast ci którzy przechytrzyli sprawę, a kupowali od innych wszy na kredyt płacąc po 1/2 papierosa i dostarczyli 30 lub więcej sztuk zostali przez Blockführera uznani za chodowców wszy i otrzymali po 25 batów takich, że ledwo doczołgali się do swych prycz. Nie ominięto także sanitariusza i lekarza, którzy także otrzymali po 25 batów za wszy na rewirze. Następnie wniesiono na blok dużą wannę, wysypano proszek, wlano do pełna zimnej wody i na rozkaz Blockführera każdy musiał, a dopilnowali tego kapowie, zamaczać w wannie swe ubranie, koc i bieliznę, a następnie przy ożwartych pknach przy padającym śniegu i mrozie spać oraz wysuszyć swe ubranie przed nadchodzącym dniem pracy. W mokrych ubraniach przebiegli pracujący w fabryce i tam się wysuszeli, gdyż było ciepło, zaś ci którzy pracowali na drugiej zmianę stracili co najmniej pół zdrowia. Codzienny wymarsz do pracy lub przyjęcie było nagradzane przy wejściu kijem lub gumą przez pomocnika kapy. Wszyscy bez wyjątku kapowie byli to niemieccy wyrokowcy odsiadujący kary więzienia, których z więzień przesłano do obozów na funkcje. W tymże młynie obozowym, w którym niewiadomo było co dobre a co złe przetrzymałem do Świąt Wielkanocnych. Największym świętem u Niemców był

Wielki Piątek, w którym to dniu niepracowano, a pożywienie pod okiem kapo kuchennego przygotowywali sami więźniowie i w tym dniu nie obeszło się bez bicia szczególnie za kradzież kartofli czy jarzyn na kuchni. Nadszedł wreszcie miesiąc maj. W Czechosłowacji wybuchło powstanie, Niemców wojskowych stopniowo wymieniano na starszych wiekiem, którzy byli mniej groźni, gdyż byli wermachtowcami a nie gestapowcami. Od nich to otrzymywaliśmy ciche wiadomości o klęsce wojennej i zbliżaniu się końca wojny.

Nadszedł wreszcie dzień 7 maja 1945 r. przed wieczorem wszedł na blok Blockführer i oświadczył wszystkim, że o świcie nastąpi wymarsz, wszyscy mają zachować spokój. Dnia 8 maja 1945 r. o świcie nastąpił wymarsz więźniów w nieznane. Tych co nie mogli opuścić rewiru mieli być prawdopodobnie wysadzeni łącznie z fabryką. W dniu tym rozdano maszerującym chleb na drogę, resztę zaś chleba umieszczono na 2 wózkach, które pchali i ciągnęli więźniowie. Maszerowaliśmy rzędami po 5-ciu wymieniając się co jakiś czas z pchającymi wózki. Podczas drogi kapowie za zgodą eskortujących żołnierzy uciekali bezkarnie gdzie się dało. Kolumna prowadzona przez Lagerführera dotarła po południu do dużej barykady wzniesionej w poprzek szosy. Kolumny zatrzymano, zaś Lagerführer przywołując do siebie powstańców czeskich będących na barykadzie wspólnie przekazał wszystkich żyjących jeszcze więźniów i udał się w drogę powrotną w kierunku obozu. Wyruszyły też samochody ciężarowe i zabrały z obozu pozostałych chorych tam pozostawionych. Wówczas dowiedzieliśmy się, że jesteśmy wolni, że wojna się zakończyła. Umieszczono nas w miejscowości Żelazny Brod w szpitalu po uprzednim wykąpaniu, przebraniu w nową bieliznę i mundury niemieckie. Wszyscy byli badani przez lekarzy, opatrywani i umieszczani na salach szpitalnych. Mieszkańcy Żelaznego Broda dokarmiali wszystkich czym mogli, ofiarowywali wszystko co było w ich możliwościach. Tak zakończyły się może przeżycia w obozach koncentracyjnych i w komando Gablonz.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.11.



Część więźniów dowieziono wozami. Poczęstunek skromny,
ale serdeczny od mieszkańców i pogawędka różnojęzyczna.

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.1.6.

Z MAUTHAUSEN DO GABLONZ

Z chwilą wybuchu Powstania Warszawskiego byłem uczestnikiem i walczyłem w plutonie prowadzonym przez dowódcę porucznika Sępa na odcinku Tagówek. Po upadku działań w tym rejonie przedostałem się przez cmentarz Bródnowski do walczących jeszcze powstańców przy bramie cmentarnej przy ul. Odrowąża. Wśród walczących pamiętam nazwisko Bartkiewicz. Po upadku tego odcinka z grupą powstańców nocą przedostajemy się do Wisły na wysokości Śliwic w celu przedostania się do walczącej jeszcze Warszawy. Zostaję ranny, a wraz ze mną jeszcze jeden towarzysz nidoli, który udzielił mi pomocy aż do czasu powiadomienia mojego szwagra Jana Plesiewicza, który był członkiem AL i zamieszkiwaliśmy razem w tym samym lokalu przy ul. Sądowskiej 15.

Podczas blokady rejonu zostaliśmy pojmani i wywiezieni do obozu koncentracyjnego "Mauthausen" 2 września 1944 roku i tak zostałem więźniem nr 93459. Na komandzie "Ebensse" - Kamieniołomy oraz praca niewolnicza na torach kolejowych, gdzie przewożono nas specjalnym wagonem. Na tym komandzie zostałem przez kapo bestialsko pobity, co spowodowało, że odnowiła mi się kontuzja nabyta podczas Powstania Warszawskiego. Dostałem krwotoku, uszkodzenia żeber i narządów słuchu. Źle słyszałem i to powodowało dodatkowe dalsze prześladowania w różne sposoby. Szwagier mój Jan Plesiewicz lat 20 więzień nr 94079 na tym samym komandzie został zamordowany i spalony w krematorium.

Podczas spania w barakach nocą SS-mani wpadali do nas wyczytując numery więźniów i już tacy nie wracali. Którejś nocy w grupie więźniów byłem też i ja, ale tę grupę przetransportowano do Mauthausen. Nosiliśmy kamienie bici pejcem i spaliliśmy na betonie. Z tego obozu pamiętam Ryszarda Pilichowskiego i dyrektora kina "Syrena" z Pragi.

Pod koniec października 1944 roku przetransportowano grupę więźniów, w której byłem, do obozu koncentracyjnego "Gross-Rosen" kamieniołomy, a pod koniec tego roku wysłano transport do komanda "Gablonz", w którym ja też byłem. Nikt nie zrozumie tych, którzy bezpośrednio nie przeżywali katowni obozu koncentracyjnego i spuchniętego ciała z głodu. Pamiętam jak kapo wybrał do niesienia w kotłach kartofli w mundurach do kantyny stołówki SS-manów czterech więźniów, wśród nich byłem też ja. Niosąc ziemniaki, jak się udało, to można było sprytnie łyknąć, ale nie można było ruszać ustami, bo wtedy z kapo miało się do czynienia. Zapach ziemniaka zmusił mnie do ryzyka, ale nie udało się, gdyż gorący ziemniak stanął w przełyku i zacząłem się dusić. Kapo wtedy skopał mnie i bił pejcem, że krew przeszła przez pasyaki, ale ziemniak przeszedł i podczas tych uderzeń więźniowie skorzystali z kilku ziemniaków. Słuch mój bardziej pogorszył się, gdy zostałem kopnięty w ucho, a od zewnątrz poszła krew.

Któregoś dnia nie słyszałem pobudki na apel i spóźniłem się, za to dostałem 25 uderzeń pejczem /więźniowie liczyli/. Byłem już wykończony, nogi były tak popuchnięte, że jak nacisnęło się palcem, to tak jak w ciasto, a odcisnięte miejsce długo nie wyrównywało się. Podczas pracy padłem wykończony z głodu i już nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Przynieśli mnie na noszach współtowarzysze, a wśród nich niósł mnie Eligiusz Grodzki /Halek/ więzień nr 91407, mój numer był wtedy 81417. Leżałem na rewirze obozowym. Pomagali mi wtedy więźniowie Władysław Lech, Patoleta, Stanisław Salamon nr 84865, Zdzisław Makowski więzień nr 81420.

Z rewiru trzeba było szybko uciekać, bo chorych wykańczali. Wymienieni więźniowie brali udział w obozowym ruchu oporu razem ze mną po nawiązaniu współpracy przez Władysława Lecha z czechosłowacką partyzantką. Więzień Lech z Warszawy ul. Wileńska zmarł na rewirze, ale przed tym przekazał mi wszystkie dane do działania w konspiracji i obrony z chwilą zbliżania frontu. Ja i dwóch radzieckich więźniów braliśmy udział w jego pochowaniu, wrzucenie do dołu wspólnego z innymi więźniami w pobliskim lesku w okolicy obozu.

8 maja 1945 roku wyprowadzono zdolnych więźniów do marszu w transport ewakuacyjny. Kolumna podążała w kierunku Tanwaldu. W odwrotną stronę ciągnęły wojska hitlerowskie. W pewnym momencie podjechało auto wojskowe z oficerami i kazali Lagerführerowi zawrócić transport. On też tak uczynił. Więźniowie teraz podążali w kierunku obozu. Obok nich jechał samochód wojskowy. Nikt z więźniów nie pamiętał treści rozmowy oficerów niemieckich z komendantem, ale wszyscy mieli jak najgorsze przeczucia odnośnie swojego losu.

Po jakimś czasie auto odjechało, gdyż tempo marszu więźniów było zbyt małe dla samochodu. Po jakimś czasie, gdy samochód odjechał daleko - komendant dał rozkaz do zmiany kierunku marszu znowu na kierunek Tanwaldu.

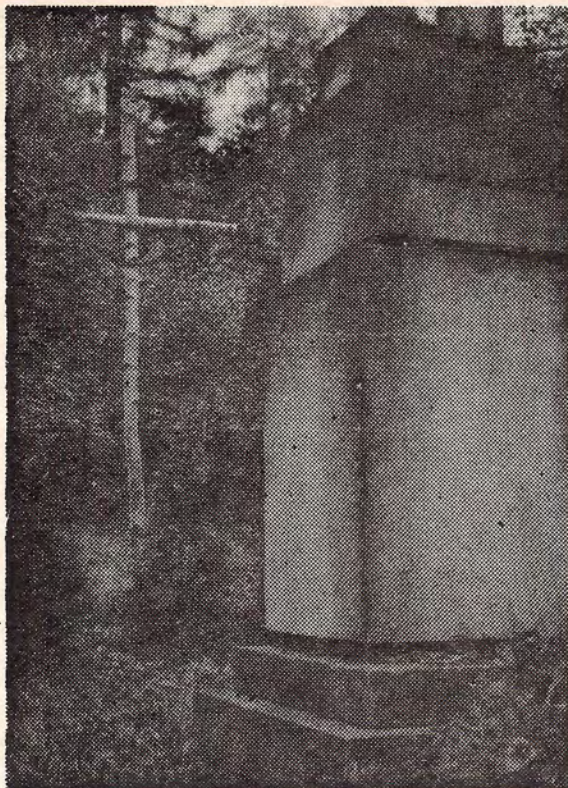
Gdy kolumna więźniów dotarła do przedmieścia Tanwaldu czekali już na nas partyzanci czechosłowaccy. Komendant obozu przeliczył wszystkich więźniów, zameldował stan obozu i przekazując więźniów w ręce powstańców - ogłosił wolność. W tym ogólnym szale radości grupa więźniów, a wśród nich Eligiusz Grodzki, Antoni Pałętka, Stanisław Salamon i ja - wszyscy z Warszawy, ale byli i inni otoczyliśmy komendanta dziękując mu za ocalenie i zadeklarowaliśmy mu pomoc i opiekę. On jednak odpowiedział, że jest żołnierzem i poszedł ku swemu dalszemu losowi.

Ocalałych więźniów przekazano do Czechosłowackiego Czerwonego Krzyża. Słabych odstawiono do szpitala w Żelaznym Brodzie, wśród nich byłem ja, Grodzki, Makowski i po paru tygodniach z wymienionymi wróciłem do kraju.

Nie wszyscy, którzy doczekali wolności wrócili do swych rodzin, byli tacy, których nie można było już uratować.

Wolność odzyskaliśmy 8 maja 1945 r.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.13.



Bílý kříž

*Pojď jen, pojď jen blíž a pohled sem pod bílý kříž:
smutně se na tebe hrob dívá. Víš, kolik bolesti,
co smutku ten rov skrývá?*

*Pojď jen a přístup blíž — sem pod bílý kříž —
snad se tady zamyslíš. Co hrůz a béd viděl les,
když tam ještě v dálce kdes
bylo slyšet rány z děl.*

To vysvobodit je bratr spěl.

Pojď jen, pojď jen blíž a skloň hlavu svoji níž.

*Jak asi umíral ten u kůlu přivázaný,
botami esesmannů zkroavený!*

*Snad nyní víš, proč přišel ses poklonit
pod bílý kříž.*

Těm zde nemá kdo kytičku na hrob dát.

Maminka jejich může jen v dáli vzpomínat.

Proto my sami musíme stále dbát —

alespoň jednou za rok kytičku jim na hrob dát.

Kytičku třeba jen polního kvítí.

To naše vzpomínka a vděčnost jim světlí.

A vzpomínka nechť se nese výš,

až tam, kde trnovou korunu

nese bílý kříž.



Ten wiersz nieznanego autora umieszczony w Izbie Pamięci Narodowej miejscowej szkoły w Jablonec nawiązuje do Krzyża brzoźowego z koroną cierniową z drutu kolczastego na zbiorowym grobowcu więźniów Komanda Gablonz ekshumowanych po wojnie z rozrzuconych mogił w pobliskim lesie za barakiem obozowym.

Nr archiwum Gross-Rosen

3.1.2.16

BIAŁY KRZYŻ

Podejdz, podejdz bliżej i spójrz pod biały krzyż:

**smutnie patrzy na ciebie grób. Wiesz, ile bólu, ile smutku
ten grób ukrywa?**

Podejdz bliżej - tu pod biały krzyż -

**może się nad tym zamyślisz. Ile okropności i biedy widział las,
gdy tam jeszcze gdzieś w oddali
było słyszać strzały z dział.**

To spieszył je wyzwolić brat.

Podejdz, podejdz bliżej i nisko się pokłoń.

**Jak może umierał ten przywiązany do pala
skrwawiony butami esesmanów!**

**Chyba teraz wiesz, dlaczego przyszedłeś pokłonić się
pod biały krzyż.**

Im nie ma kto położyć wiązanek na grobie.

Ich mama może tylko z oddali wspominać.

Dlatego my sami musimy wciąż dbać -

przynajmniej raz w roku położyć im wiązkę na grób.

Chociażby wiązkę z polnych kwiatów.

To nasze wspomnienie i wdzięczność im przyświeca.

A wspomnienie niech się wznosi wyżej,

aż tam, gdzie cierniową koronę

niesie biały krzyż.

/Tłumaczyła: Pani Holubova

**z Ośrodka Kultury Czechosłowackiej
w Warszawie/**

PROTOKÓŁ POBRANIA ZIEMI Z TERENU b.KOMAND GROSS-ROSEN

W dniu..7.10.1966..godz.....13⁰⁵.....podczas pobytu delegacji polskich b.więźniów politycznych hitlerowskiego obozu Rogoźnica-Gross Rosen, poprzedzona minutą ciszy pobrana została do urny ziemia z miejsca kaźni więźniów filii tego obozu "Jablonec-Racibórz" w Jabloncu N/H. Rybnice.....

Ziemia ta zostanie złożona we wspólnej urnie komand Gross Rosen w Mauzoleum Walki i Męczeństwa w Alei Szucha w Warszawie w Święto Zmarłych 1 listopada 1966 r., jako wyraz wiecznej pamięci dla ofiar zbrodni hitlerowskich, dokonanych na terenie tego komanda.

W uroczystości pobrania prochów ziemi uczestniczyli ze strony polskiej następujący członkowie Klubu B.Więźniów Gross-Rosen przy Zarządzie Okręgu Warszawskiego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację:

- | | | | |
|-----------------------|-------|-----------------------|------------------------|
| 1. Zenon Karpiński | | <i>Z. Karpiński</i> | <i>Slavko Bohartov</i> |
| 2. Leon Lipiński | | <i>L. Lipiński</i> | <i>Yonf Shapir</i> |
| 3. Zdzisław Makowski | | <i>Z. Makowski</i> | <i>Boha...</i> |
| 4. Ignacy Miętus | | <i>I. Miętus</i> | <i>...</i> |
| 5. Mieczysław Mołdawa | | <i>M. Mołdawa</i> | <i>...</i> |
| 6. Artur Piechna | | <i>A. Piechna</i> | <i>...</i> |
| 7. Aleksander Sójka | | <i>A. Sójka</i> | <i>...</i> |
| 8. Henryk Uchman | | <i>H. Uchman</i> | <i>...</i> |
| 9. Antoni Wojnarowicz | | <i>A. Wojnarowicz</i> | <i>...</i> |
| 10. Józef Zommer | | <i>J. Zommer</i> | <i>...</i> |

Liberecké automobilové závody
národní podnik
Jablonec nad Nisou
- Zvláštní oddělení

Jablonec...7..październik 1966 r.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.2.1.